KURNIKI Z BŁOGOSŁAWIEŃSTWEM

FAKTY PO MITACH

Nr 8 (284), 20 – 26 lutego 2026 r.



str. 6-7

CZAS TOTALNEJ INWIGILACJI

str. 10, 11, 12

9 772719 530604 08

cena 11,99 zł (w tym 8% VAT)

ISSN 2719-5309 INDEX 434000

tygodnikfaktypomitach

faktypomitach.pl

eprasa.pl 1a7ca6177b

Nr 8 (284) 20-26.02 2026 r. F!

Akademia absurdu



Wirus wojny

Im dłużej trwa wojna rosyjsko-ukraińska, tym wyraźniej widać, ile w niej obłudy. Jak w każdej zresztą. W tej jednak prawdziwe są jedynie śmierć i cierpienie ofiar. Reszta wydaje się być dekoracją jakiegoś groteskowego spektaklu.

Kiedy ten numer „FpM” będzie w sprzedaży, przypadnie czwarta rocznica napaści Rosji na Ukrainę. Tak – napaści, bo jakkolwiek zaklinać rzeczywistość i nie zakazywać używania takich słów jak „wojna” czy właśnie „napaść”, jakkolwiek za to karać, nie da się ogłupić ludzi do tego stopnia, by całkowicie ignorowali fakty. Poświęcamy tej smutnej rocznicy jeszcze trzy publikacje (str. 3, 14 i 15). Warto, bo wojna ta trwa już dłużej niż prowadzona przez ZSRR Wielka Wojna Ojczyźniana (22 czerwca 1941 r. do 9 maja 1945 r.). W czasach nam współczesnych Związek Radziecki walczył dłużej tylko w Afganistanie (1979-1989 r.). Ta pierwsza, zakończona ponad 80 lat temu, traktowana jest przez Rosjan i sporą część narodów tworzących niegdyś ZSRR jako narodowa świętość. Była to wojna obronna, w której decydowała się nie tylko państwowość pierwszego na świecie kraju socjalistycznego, ale i fizyczne istnienie wielu tworzących go narodów. Druga z przywołanych – afgańska, była już wojną z wyboru. Dlaczego o niej wspominam? Bo choć ta tocząca się obecnie trwa „zaledwie” 4 lata, a nie 10, to już pochłonęła co najmniej 7 razy więcej ofiar niż poprzednia.

Wojna w Ukrainie, choć ma dość ograniczony zasięg terytorialny, już odmieniła życie w znanym nam świecie. Tak jak zmieniły je zamachy terrorystyczne z 11 września 2001 r. Przyniosły śmierć nie tylko w USA, Afganistanie, Iraku, Libii, Syrii, ale też w każdym z państw wspierających tzw. koalicję antyterrorystyczną. To od tamtej pory mamy do czynienia z postępującą inwigilacją (czyt. str. 10-12) czy upadlającymi procedurami bezpieczeństwa na lotniskach. Wojna Rosji z Ukrainą trwa długo, ale im więcej mówi się o jej rychłym zakończeniu, tym lepiej widać, że nie zależy na tym nikomu. Nikomu prócz potencjalnych ofiar, które jednak nie mają siły sprawczej, aby wymóc na swoich elitach rzeczywiste działania zmierzające do położenia kresu bezsensownych śmierci.

A kuku... – to ja...

Jeśli myślicie Państwo, że konflikt rosyjsko-ukraiński nie dotyka nas bezpośrednio – jesteście w błędzie. To za jego sprawą płacimy fortunę za węgiel, gaz, benzynę i mamy energię elektryczną jedną z najdroższych w Europie. To zaś przekłada się na koszty wyprodukowania i dostarczenia odbiorcy każdego towaru, w tym żywności. Na finalną cenę np. chleba składają się koszty nie tylko paliwa do maszyn rolniczych, ale też nawozów sztucznych, których cena poszybowała w górę. To dodatkowo wydatki na jego wypieczenie (gaz) i transport. Ceny żywności reguluje się poprzez otwieranie rynku na import. To zaś prowadzi do tego, że rodzima produkcja rolna robi się nieopłacalna. Niby w miastach tego nie czujemy, ale ok. 40 proc. mieszkańców Polski to mieszkańcy wsi i terenów wiejskich. Wojna więc już tu jest…

Bakcyl nienawiści

Jest też w nas mentalnie. Oburzamy się na pomoc świadczoną Ukraińcom w Polsce, ale nie chcemy dostrzec, że *per saldo,* budżetowi się to opłaca, bo zostawiają oni w podatkach więcej, niż otrzymują w formie zapomóg. Drażni język ukraiński na ulicach, w sklepach, ale nie zastanawiamy się, jak wyglądałoby nasze codzienne życie, gdyby na rynku nagle zabrakło miliona rąk do pracy. Biadolimy o wzroście przestępstw dokonywanych przez migrantów, nie próbując nawet odnieść ich liczby do stanu populacji i średniej przestępstw dokonywanych przez Polaków. W każdym Ukraińcu widzimy banderowca i skorumpowanego oszusta. Tak jakoś bez refleksji, że coś ich przecież skłoniło do opuszczenia swojego kraju. Jeszcze gorzej traktujemy drugą pod względem liczebności grupę imigrantów w Polsce – Białorusinów. Za co? Że nie chcą żyć pod dyktaturą Łukaszenki? Rosjan w Polsce praktycznie nie ma, bo życie w Polsce jest dla nich po prostu niebezpieczne. Ci nieliczni, którzy się jeszcze ostali, systematycznie wyjeżdżają z Polski, bo choć często nie po drodze im z W. Putinem, to jednak w Moskwie nie straszy się ich dzieci śmiercią tylko dlatego, że są Rosjanami. Z braku ludzi wrogiem stała się kultura rosyjska – poezja, literatura, muzyka, malarstwo, film i sam język. No cóż… kogoś nienawidzić trzeba.

Nienawiść – stały element tej wojny – jest efektem zamierzonych działań rządzących. Ukierunkowuje się ją na obecnych wrogów licząc, że opinia społeczna będzie ślepo popierać działania w nich wymierzone. Za mojego życia wrogami – według władz – byli już Niemcy, Francuzi, Brytyjczycy, Austriacy, Amerykanie, Południowi Koreańczycy, Kanadyjczycy, Irakijczycy, Afgańczycy; i oczywiście Żydzi. Teraz są nimi Rosjanie, Białorusini, Serbowie, Irańczycy, Węgrzy, Koreańczycy z Północy; i oczywiście Żydzi. W kolejce do znienawidzenia czekają Ukraińcy, Słowacy i Amerykanie. Nienawiść jest jednak jak niezabity wirus – zaatakowany organizm staje się jego nosicielem i nie wiadomo, jaki organ (w tym wypadku państwo) padnie jego ofiarą. Wirus nienawiści rozwija się szybko, o czym świadczy zwiększająca się popularność ruchów nacjonalistycznych w Polsce.

Efektem wojny rosyjsko-ukraińskiej jest też bezpardonowe robienie z nas przez kolejne polskie rządy idiotów. Agentami Rosji byli i są wszyscy – Ci od Tuska i Kosiniaka-Kamysza, ci od Kaczyńskiego, Ziobry, Bielana i Gowina, od Mentzena i Brauna, ci od Hołowni, Zandberga, a ostatnio od Czarzastego, z nim samym zresztą w roli głównej. Z tym szpiegowaniem na rzecz Rosji jest w Polsce jak z żydostwem – każdy był, jest albo będzie Żydem. W zależności od układu politycznego i jego aktualnych potrzeb. (Oczywiście z pominięciem Króla Polski Jezusa Chrystusa i jego mamy Marii). Przykład obecnego marszałka Sejmu jest tu naprawdę wymowny i wesoły. Kilka miesięcy wcześniej życzliwe mu środowiska próbowały zrobić ruskiego agenta ze mnie, by dobrać się do prof. Joanny Senyszyn („FpM” 38/25). Nic z tego nie wyszło. Ale teraz, gdy środowiska nieprzychylne Czarzastemu zarzucają mu „niebezpieczne związki z Rosją”, ci co krytykowali nas (portal OKO.press i politycy Lewicy), milczą na jego temat.

Przeżyliśmy całe lata wśród doniesień „wywiadu Ukrainy”. Jakoś nie ma ich, odkąd stały się tematem żartów. Niecały rok temu straszono nas, że rosyjscy szpiedzy interesują się polskimi schronami, by chwilę później rząd upowszechnił wiedzę o tych nielicznych. Po fali krytyki przestały płonąć „podpalane na zlecenie rosyjskiego GRU” wysypiska śmieci i galerie handlowe, ale zaczęły pojawiać się doniesienia o próbach wykolejenia pociągów. Czy to prawda? Nie wiem. Wiarygodność rządzących jest mniej więcej taka, jak sojuszu z USA, o którego niepodważalności też nas wszyscy zapewniają.

Co więc zrobiła z Polską ta wojna? Nasączyła nas obłudą i nienawiścią, a rządzących pozbawiła umiaru w inwigilacji i wszelkich manipulacjach. To prawda, że wojna zabija. Jeśli nawet nie pozbawia życia, niszczy człowieczeństwo; zawsze zaczynając od mózgu.

Darek Cychol

FAKTY bez mitów

Sejm przystępuje do prac nad ustawą o zadośćuczynieniu dla rodzin osób zamordowanych przez powojenne podziemie antykomunistyczne. Nie wszystkich – potencjalne odszkodowania miałyby uzyskać jedynie rodziny zabitych z pobudek narodowościowych i religijnych, jak w przypadku ofiar Romualda Rajsa „Burego”, który w 1946 r. urządził morderczy rajd przez prawosławne wsie pod Hajnówką. Projekt do Sejmu wniosła Lewica, PiS jest przeciw. Według prawicowych posłów, wypłacenie odszkodowań godzi w pamięć „wyklętych” i w polską rację stanu. Wiadomo, Polak zawsze może być tylko ofiarą.

***

Trwają też prace nad ustawami regulującymi związki nieformalne, bo o ustawie o związkach partnerskich, jaką obiecywał Tusk, mówić bardzo trudno. Jak donosi portal Gazeta.pl, ostateczny kształt nowych regulacji napisze komisja nadzwyczajna kierowana przez Urszulę Pasławską (PSL). Posłanka ludowców zasiada w Radzie Parlamentarnej przy prezydencie, podobno mogłaby szepnąć Karolowi Nawrockiemu, by ustawy nie wetował. Coś czujemy, że szepty czy nawet dalsze krojenie ustawy na nic – za tego prezydenta postępowych praw się nie doczekamy.

***

Rozczarowali się również zwolennicy uznania śląskiego nie za dialekt, a za język regionalny. Taki, którego można się uczyć na fakultatywnych zajęciach w szkołach i którego przetrwanie oficjalnie wspiera państwo. Karol Nawrocki oświadczył, że szanuje specyficzną tradycję śląską, ale „ślunsko godka” to dla niego jedynie dialekt polszczyzny, nic ponadto. W spisie powszechnym w 2021 r. 467 145 polskich obywateli stwierdziło, że w domu mówi po śląsku. Jeszcze więcej zadeklarowało, że ich narodowość – jedyna lub pierwsza – to właśnie narodowość śląska.

***

Złotą radę mają eksperci portalu RynekPierwotny.pl dla Polek i Polaków, którzy co miesiąc zastanawiają się, czy po opłaceniu czynszu wystarczy na życie. Otóż lepiej kupić swoje, niż wynająć! Argumentacja specjalistów powala prostotą: kiedy spłacamy kredyt za mieszkanie, powiększamy swój majątek, za to płacąc za wynajem – absolutnie nie. A co, jeśli człowiek bardzo chciałby kupić mieszkanie, uczciwie pracuje, ale bank nie widzi u niego zdolności kredytowej? Spece od rynku zapewne sami w takiej sytuacji nie byli (zazdrościmy!), to i na taki scenariusz nie wpadli. Niestety, dla milionów Polaków to samo życie.

A.S.

eprasa.pl 1a7ca6177b

Lekcje wojny

Od czterech lat żyjemy w cieniu ostrego, brutalnego konfliktu zbrojnego. Życie znacząco, choć dla wielu być może niedostrzegalnie, zmieniło się.



fot. Ilustracja AI

Za datę wybuchu wojny uznaje się 24 lutego 2022 r. Dla mnie jednak agresja na Ukrainę rozpoczęła się dwa dni wcześniej, kiedy to rosyjski prezydent podpisał dekret o uznaniu separatystycznych „republik ludowych" w Donbasie – donieckiej i ługańskiej – i od razu wprowadził do nich swoje wojska. Ukraińcy zresztą liczą ten czas zupełnie inaczej: dla nich wojna trwa nieprzerwanie od roku 2014, pojawienia się „zielonych ludzików", aneksji Krymu i wywołania wewnętrznych starć na wschodzie ich kraju.

Przez ostatnie cztery lata wojna przechodziła różne fazy; klęski ponosili i Rosjanie (ponoć zakładali zajęcie Kijowa w ciągu kilku, kilkunastu dni), i Ukraińcy (nieudana ofensywa w 2023 r.), i Donald Trump – nie sprawdziły się buńczuczne zapowiedzi o doprowadzeniu do pokoju w ciągu godzin lub dni po objęciu przezeń urzędu. Osłabił się (a według niektórych uległ destrukcji) Sojusz Północnoatlantycki – co też jest „zasługą" obecnego prezydenta USA. Natomiast skonsolidowała się Unia Europejska, która buduje własne zdolności w dziedzinie bezpieczeństwa i obrony. Rosja stała się wasalem Chin, musi korzystać z pomocy wojskowej Korei Północnej i Iranu; jest jednak ważnym elementem antyokcydentalnego „Globalnego Południa". W świecie przestaje obowiązywać prawo, a zaczyna dominować naga siła. Wszyscy zaczęli się na potęgę zbroić.

Nie wiadomo, kiedy i jak zakończy się ten konflikt, ale jego skutki zostaną z nami na długo. Warto wyciągnąć wnioski z tego, co się wydarzyło.

Bądźmy gotowi!

Podziwiam tych ekspertów, którzy bez wahania zapewniają, że Rosja nie napadnie na Polskę ani na żaden inny kraj NATO. Bo to byłaby już III wojna światowa. Jednak cztery lata temu atak na Ukrainę do samego końca też wydawał się bezsensowny, niczego Rosji niedający (odwrotnie niż blefowanie taką napaścią) – a więc nieprawdopodobny. Sojusznicy nie dawali wiary tajnym informacjom amerykańskiego wywiadu, przekazywanym im przez Joe Bidena. A jednak…

Od odpowiedzialnych przywódców oczekujemy przygotowania państwa i społeczeństwa na wszystkie scenariusze, nie tylko na te dobre. Jeśli pieniądze – przyznaję, olbrzymie – przeznaczone na zbrojenia dadzą tylko efekt odstraszający, będą warte ceny zachowania pokoju i (generalnie) standardu życia w dobrobycie i demokracji. Tzw. jazda na gapę, bez inwestycji w armię i przemysł obronny, skończyła się. Trudno. Lepiej nauczyć się oszczędniej gospodarować, by wyłuskać te 4 proc. PKB na bezpieczeństwo, nawet w perspektywie lat, niż płacić – jak to się górnolotnie mówi – daninę krwi.

Dobrze by było, gdybyśmy w tej kwestii byli zjednoczeni. Inne narody w sytuacji zagrożenia zawieszają na kołkach bieżące spory polityczne (np. Wielka Brytania w 1940 r., Izrael po ataku Hamasu w 2023 r.). Niestety, nie my. Najlepszy przykład: głosowanie PiS i obu Konfederacji przeciwko ustawie powołującej specjalny fundusz, przez który mają być przepuszczane środki z unijnego programu SAFE na dozbrajanie państw członkowskich i wzmocnienie europejskiego przemysłu zbrojeniowego (dla Polski to ponad 185 mld zł). Także prezydent Nawrocki mnoży wątpliwości wobec naszego udziału w tym wielkim programie UE. Pojawiają się więc głosy o możliwym wecie. Jeśli tak się stanie, tragedii nie będzie: to tylko strona techniczna zarządzania tą górą pieniędzy. W razie czego można będzie ją zorganizować inaczej.

Przyjaciół szukajmy blisko!

Opisana różnica zdań nie wzięła się znikąd. To wyraz zupełnie odmiennych koncepcji strategicznych. Jedną z konsekwencji wydarzeń ostatniego roku, od inauguracji drugiej kadencji Trumpa, jest uświadomienie sobie przez zdecydowaną większość europejskich polityków i społeczeństw, że na USA nie można już polegać jak na Zawiszy. Alternatywą jest zbudowanie własnego potencjału wystarczającego do odstraszenia ewentualnego agresora lub odparcia napaści – nie tylko w wymiarze osobowym, ale też pod kątem ilości i jakości sprzętu, w tym najnowszej generacji. Ważne, aby był on wytwarzany przez producentów w krajach UE i serwisowany przez autoryzowane zakłady europejskie, bo dzięki temu skraca się także czas dostaw części zamiennych, które – jak wynika z doświadczeń z pól bitewnych Ukrainy – są kluczowym, obok paliwa i amunicji, elementem skutecznej obrony.

Tymczasem prawica wciąż pokłada bezgraniczną wiarę w Wuja Sama. Wydaje jej się, że obecność nawet niewielkiego kontyngentu amerykańskich żołnierzy jest gwarancją *per se*, bo kogo jak kogo, ale ich Rosjanie nie zaatakują. A nawet jeśli, to US Army natychmiast przybędzie z odsieczą.

A przede wszystkim trzeba kupować jak najwięcej sprzętu od producentów zza oceanu, nie oglądając się na koszty: wtedy rząd w Waszyngtonie nie zostawi nas samych. Dodatkowo wszyscy na wyprzódki starają się wkraść w łaski kapryśnego, obecnego gospodarza Białego Domu. Dlatego Nawrocki z tak wielką ochotą chciał stawić się na inauguracyjnym posiedzeniu Rady Pokoju, dziwacznego ciała mającego być wirtualnym pomnikiem świadczącym o wielkości Trumpa i rekompensatą za brak Pokojowej Nagrody Nobla (dlaczego jednak tak intensywnie zabiegał o placet Rady Ministrów, do końca nie wiadomo). Miliardy dolarów przeznaczone na jeden i drugi cel miałyby zapewnić bezpieczeństwo Rzeczypospolitej i jej obywatelom.

Otóż, nie zapewnią. Obserwując wygibasy wysłanników Trumpa do dialogu z Putinem, można raczej nabrać podejrzeń, że za perspektywę intratnych kontraktów z rosyjskimi oligarchami będą gotowi (z upoważnienia mocodawcy) sprzedać nie tylko Wołodymyra Zełenskiego, ale i ich ideowych, ultrakonserwatywnych, nacjonalistycznych pobratymców w rodzaju Nawrockiego, Kaczyńskiego, Tarczyńskiego, Bielana.

Zbrójmy się z głową!

Jednak kluczowym wnioskiem z czteroletniej wojny w Ukrainie jest to, że charakter sztuki wojennej zmienia się obecnie mniej więcej co pół roku. Zaczęło się od operacji rodem z czasów II wojny światowej – *Blitzkriegu* (nieudanego), pancernych zagonów, próby wojny manewrowej. Ale wystarczyło wypuścić w powietrze proste i tanie, często przerabiane chałupniczym sposobem drony, wyposażone w kamerki, by okazało się, że żaden czołg nie zbliży się do linii frontu bliżej niż na kilka kilometrów. Dron typu kamikadze, który może kosztować ok. 500 dolarów, jest w stanie zniszczyć czołg wartości kilkunastu milionów USD. Kiedy do walk zaprzęgnięto technologie antydronowe, zakłócające systemy sterowania maszynami, pojawiły się bezzałogowce sterowane przez światłowód, odporne na zagłuszanie elektroniczne.

Zobaczymy, co jeszcze przyniesie postęp w tej dziedzinie w najbliższych miesiącach trwającej wojny, ale wydaje się, że minister Błaszczak wydał górę pieniędzy na sprzęt, który może okazać się mało przydatny w realnej walce. Co więcej, teraz rozpętuje histerię zarzucając rzekome wycofywanie się z tych zakupów (przegląd zawartych przez niego umów mógłby być całkiem sensowny, ale jeśli w ogóle jest dokonywany, to w absolutnej ciszy).

Wspomniany program SAFE jest okazją do wzniesienia polskiego sektora zbrojeniowego na zupełnie nowy, nieznany dotąd poziom. W zasadzie te środki mają być przeznaczone – oprócz amunicji, jak pokazała wojna w Ukrainie absolutnie niezbędnej w wielkich ilościach – na te pola, w odniesieniu do których Europa uświadomiła sobie kluczowe deficyty, np. szyfrowana łączność, systemy dowodzenia, rozpoznanie satelitarne, wykorzystanie sztucznej inteligencji i komputerów kwantowych, „żelazna kopuła" chroniąca przed rakietami balistycznymi, pociskami i dronami. Może to Państwa zaskoczy, ale w wielu z tych obszarów polskie firmy – państwowy holding PGZ oraz prywatne – mają potencjał i uznany dorobek.

Jakub Jabłoński

eprasa.pl 1a7ca6177b

WIARA CZYNI CZUBA

Irlandia Płn.: katechetyczna rewolucja

Edukacja religijna przechodzi gruntowną reformę. Dotychczasowy program nauczania uznano za jednostronny i naruszający prawa człowieka.

Według Sądu Najwyższego, dotychczasowa edukacja religijna w szkołach podstawowych, która skupiała się wyłącznie na chrześcijaństwie i marginalizowała inne religie, naruszała Europejską Konwencję Praw Człowieka. W związku z tym, minister edukacji Paul Givan ogłosił, że nowy program (planowany do wprowadzenia za rok) ma łączyć naukę o chrześcijaństwie z pluralistycznym spojrzeniem na inne religie i filozofie. Reforma ma objąć szerokie konsultacje z uczniami, rodzicami, nauczycielami i liderami religijnymi. Organizacje humanistyczne i przedstawiciele społeczności oświatowej podkreślają, że zmiana zapewni uczniom szerszą, obiektywną edukację religijną oraz ochroni ich prawo do krytycznego myślenia.

Austria: biskupi przeciw AI

Konferencja Biskupów Austrii powołała grupę roboczą, której zadaniem będzie omówienie podejścia Kościoła kat. do sztucznej inteligencji (AI).

Interdyscyplinarnej grupie przewodniczy bp Hermann Glettler z Innsbrucka. Jej członkowie pochodzą ze wszystkich diecezji i zakonów. Mają opracować wytyczne do etycznych i praktycznych sposobów wykorzystania AI w duszpasterstwie, edukacji i komunikacji, „chroniąc przy tym wartości ludzkie i moralne”. Grupa ma też koordynować działania diecezji i wspierać dialog Kościoła ze światem nauki i technologii. Podczas spotkania inauguracyjnego w Salzburgu diecezje wymieniły się pomysłami na wykorzystanie AI, np. do przygotowywania materiałów katechetycznych, analizy potrzeb wiernych, automatyzacji obsługi parafialnych e-maili, kalendarzy i mediów społecznościowych. Potem zostanie już tylko wymiana księży na roboty i problemy Kościoła znikną.

Indonezja: chłosta za wolność

W mieście Banda Aceh 21-letnia kobieta i mężczyzna zostali wychłostani za nieformalny związek i publiczne picie alkoholu.

Parze wymierzono karę w miejskim parku na oczach kilkudziesięciu osób. Dostali po 140 batów w plecy: 100 za zakazaną intymną relację poza małżeństwem i 40 za spożycie alkoholu. Aceh to jedyna prowincja Indonezji, w której obowiązuje pełne prawo szariatu. Zakazuje ono m.in. bliskich relacji między osobami, które nie zawarły małżeństwa, spożywania alkoholu, hazardu oraz kontaktów homoseksualnych. Tego samego dnia chłostę wymierzono jeszcze sześciu osobom. Wśród nich znalazł się także funkcjonariusz policji religijnej i jego partnerka. Zostali przyłapani, gdy byli razem sami w domu kobiety, co w świetle tamtejszego prawa także stanowi wykroczenie. Oboje otrzymali po 23 baty.

Szwajcaria: radna z wyrokiem

Sąd w Zurychu uznał polityczkę Saniję Ameti za winną publicznego znieważenia uczuć religijnych. Radna miejska ćwiczyła strzelanie do celu na „świętym” obrazie.

Radna miasta Zurych i była liderka Partii Zielonych Liberalnych Sanija Ameti we wrześniu 2024 r. strzelała z pistoletu sportowego do wydruku wizerunku Matki Bożej z Dzieciątkiem Jezus. Zdjęcia z tego zdarzenia najpierw udostępniła w mediach społecznościowych (Instagram), a potem je usunęła. Kiedy o sprawie zrobiło się głośno, Ameti tłumaczyła, że wybrała ten wydruk tylko dlatego, że był duży i dopiero po fakcie zauważyła, że przedstawia treści religijne. Sąd skazał ją „na zawieszoną grzywnę 3 tys. franków szwajcarskich” i bezwzględną karę finansową w wysokości 500 franków (ok. 2 300 zł). Choć szwajcarscy biskupi zadeklarowali, że jej wybaczają, miłosierni katolicy mają inne zdanie. W mediach społecznościowych roi się od postów sugerujących, że radna powinna usłyszeć… wyrok śmierci.



fot. Instagram: Don Alberto Ravagnani

Włochy: medialne zrzucanie sutanny

Poczucie izolacji, brak autentycznego kontaktu z ludźmi, wątpliwości dotyczące celibatu, hierarchii Kościoła i nauczania w zakresie seksualności – to tylko niektóre powody, przez które ksiądz celebryta zrzucił sutannę.

Popularny w mediach społecznościowych ksiądz Alberto Ravagnani z archidiecezji Mediolan porzucił kapłaństwo. Jego odejście spotkało się z olbrzymim poruszeniem. Ravagnani zapowiada wydanie książki, w której omówi przyczyny zrzucenia sutanny. Już teraz jednak zaczął jak z rękawa sypać zarzutami przeciwko swoim byłym pracodawcom. Stwierdził m.in., że hierarchowie są winni rozpadowi Kościoła, bo „wylewają dziecko z kąpielą” wybierając materializm. Sam jednak od dawna podążał ich drogą. W ubiegłym roku – jeszcze jako ksiądz – podjął intratną współpracę z producentem odżywek dla sportowców. Czy zdobyłby taką popularność, gdyby nie był duchownym? Bóg raczy wiedzieć…

Watykan: fanatycy kontra fanatycy

Przełożony generalny Bractwa Kapłańskiego św. Piusa X – lefebrystów ks. Davide Pagliarani zapowiedział konsekracje biskupie. Stolica Apostolska straszy ekskomuniką.

Lefebryści uznają papieża, ale nie zawsze podporządkowują się jego decyzjom. Ich konflikt ze Stolicą Apostolską sięga czasów Soboru Watykańskiego II (1962-1965). Abp Marcel Lefebvre uznał wtedy, że sobór wprowadził „niebezpieczne nowości”, zwłaszcza w kwestiach: dialogu z innymi religiami i wolności religijnej. Watykan z kolei zepchnął lefebrystów na margines Kościoła. Zgodnie z kan. 1 382 kodeksu prawa kanonicznego, udzielenie i przyjęcie sakry biskupiej bez papieskiego mandatu skutkuje automatyczną ekskomuniką. Podobna sytuacja miała już miejsce w 1988 r., gdy abp Marcel Lefebvre dokonał nieautoryzowanych święceń. Choć w 2009 r. Benedykt XVI cofnął ekskomunikę, status Bractwa pozostaje nieuregulowany. Zapowiedź nowych konsekracji znów stawia ich relacje z papiestwem na ostrzu noża.

Iran: luksusy ascetów

Irańczycy cierpią z powodu biedy i inflacji, a rządzący nimi ajatollahowie opływają w luksusy.

Jak niemal w każdej religii hierarchowie żądają od swoich wiernych by żyli zgodnie z surowymi zasadami i potępiają „zachodni styl życia”. Sami jednak czerpią z niego pełnymi garściami. Jak wynika ze śledztwa dziennikarskiego agencji Bloomberga, rodzina najwyższego duchowego przywódcy Iranu Alego Chameneiego nie stroni od uroków znienawidzonego zachodniego stylu życia. Podczas gdy zwykli Irańczycy żyją w skrajnej biedzie i nie mogą nawet protestować przeciwko władzy, bo ryzykują rozstrzelenie na ulicy, syn ajatollaha kupuje kolejne posiadłości. Modżtaba Chamenei ma już nieruchomości w Niemczech, Hiszpanii i Londynie warte ok. 140 mln dolarów. Do tego posiada willę w Dubaju, ekskluzywne hotele we Frankfurcie i na Majorce, a także ośrodek narciarski i pole golfowe. O ofiarowaniu khums – ⅕ dochodu – np. na wsparcie ubogich nic jednak nie słychać.

Indie: guru ponad prawem

Skazany za gwałt i morderstwo guru Gurmeet Ram Rahim Singh po raz piętnasty warunkowo opuścił więzienie.

Gurmeet Ram Rahim Singh, przywódca ruchu Dera Sacha Sauda, odsiadujący wyrok 20 lat więzienia za gwałt oraz dożywocie za udział w morderstwie dziennikarza, został po raz piętnasty objęty zwolnieniem warunkowym. Od 2017 r. spędził poza więzieniem łącznie kilkanaście miesięcy. Decyzje o kolejnych zwolnieniach budzą kontrowersje, zwłaszcza że często przypadają na okresy przedwyborcze. Krytycy zarzucają władzom uleganie wpływom politycznym i religijnym oraz podważanie zaufania do wymiaru sprawiedliwości.

eprasa.pl 1a7ca6177b

POLETKO PANA B.©

W MORDĘ GO, AMEN

Niezwykłe połączenie sacrum i profanum zaprezentowali pisowcy podczas 190. miesięcznicy smoleńskiej. Gdy tylko wyszli z archikatedry, gdzie odprawiono „mszę smoleńską”, natknęli się na mężczyznę z transparentem: „Najwięksi kłamcy, złodzieje, zbrodniarze, degeneraci nie siedzą w więzieniach, ale na salach parlamentów”. Uduchowiony świeżo po mszy Marek Suski rzucił się na przeciwnika i wyrwał mu transparent. Jak widać na zdjęciach w „Fakcie”, doszło do szarpaniny, lecz obu panów rozdzieliła policja. Wtedy do akcji wkroczył Antoni Macierewicz. Sobie tylko znanym sposobem sforsował kordon mundurowych i energicznie, jak przystało na byłego ministra obrony, popchnął wroga. Tak mocno, że tamten by upadł, gdyby nie podtrzymali go funkcjonariusze. Po tym zwycięskim boju rozmodlony pochód przeszedł na Pl. Piłsudskiego, gdzie czekały oflagowane Polskie Babcie i jeden Polski Dziadek. Były też modły, znicze, kwiaty oraz baner z groźbą: „Za kłamstwo smoleńskie przyjdzie kara dla ludzi Tuska!”.

PODATEK OD WIARY

Do Senatu trafiła obywatelska petycja, która może całkowicie zmienić sposób finansowania Kościoła w Polsce. Jej autor postuluje wprowadzenie podatku kościelnego na wzór niemiecki: wyznawca danego Kościoła płaci na jego rzecz 8 proc. wynagrodzenia z tytułu umowy o pracę, umowy-zlecenia lub umowy o dzieło (ale nie emerytury czy renty). Podatek byłby potrącany automatycznie z pensji. Miałoby to „wzmacniać świadome członkostwo w Kościele lub związku wyznaniowym”, bo płaciłby jedynie ktoś, kto się z nim utożsamia. Zyskaliby niewierzący/bezwyznaniowi, zwolnieni z podatku. Na życzenie senackiej Komisji Petycji pomysł analizują Ministerstwo Finansów oraz MSWiA. Według wiewiórek, odnoszą się do niego krytycznie, gdyż Kościół *per saldo* mógłby na tym stracić. Kiedy wreszcie nie będzie to głównym kryterium w porządkowaniu relacji państwo – Kościół?

JATKA ULICZNA

Łuków, woj. lubelskie. Ulicą maszeruje kolumna Wojowników Maryi. Tłum całkiem spory, przeważają młodzi mężczyźni, do których najbardziej przemawia religijność zmilitaryzowana, gotowa przyłożyć wrogom. Nad głowami powiewają białe sztandary z wizerunkiem Maryi, trafiają się też Jezusy i pojedyncze flagi biało-czerwone. Najbardziej zdumiewa niesiony na czele pochodu ogromny krzyż w pozycji horyzontalnej, do którego doczepiono rekwizyt rodem z filmowego horroru albo ze sklepu rzeźnika: czerwony szkielet z resztkami zwłok. Nienaturalnie wygięte kończyny, sterczące kości żeber. Jeśli Ukrzyżowany – jak uczy Biblia – „trzeciego dnia zmartwychwstał”, to w żadnym razie nie mógł osiągnąć takiego stadium rozkładu. Sutannowi epatują tą makabrą przechodniów, w tym dzieci. Niedługo będą wyklinać „obsceniczne” parady równości i „satanistyczne” zabawy w Halloween.

CUKIERKOWE MĘCZEŃSTWO

Na rozprawie w Sądzie Okręgowym w Warszawie salcesonowy egzorcysta i prezes Fundacji Profeto, ksiądz Michał O., odmówił zeznań. Oświadczył tylko zbolałym głosem, że po przeżyciach więziennych cierpi na zespół stresu pourazowego, a w dodatku jego rodziców nęka ABW (tu warto dodać, że ojciec ma zarzuty – udziału w zorganizowanej grupie przestępczej, prania brudnych pieniędzy i wystawiania fikcyjnych faktur VAT). Na ławie oskarżonych zasiadły też dwie byłe urzędniczki Ministerstwa Sprawiedliwości Karolina K. i Urszula D. Gdy wyjaśnienia składała ta ostatnia, część publiczności objadała się cukierkami. Sędzia wezwała do „zakończenia biesiady”, co jednak nie pomogło, wobec czego wezwała policję. Jedna z rozbawionych pań wdała się w awanturę z policjantem i została wyprowadzona siłą. „Gestapo, gestapo!” – zaczęli skandować zjadacze cukierków. W roku 2006 prokurator – podwładny Ziobry – Adam Roch przesłuchiwał kobietę w trakcie porodu, ale nikt wtedy nie krzyczał o nękaniu, gestapo i torturach.



NIEŚWIĘTE KROWY

W Katolandzie niełatwo ukarać przestępcę w sutannie. A to bronią go parafianie, a to prokurator 10 lat bada prostą sprawę, a to sąd w ostatniej chwili zmienia skład orzekający. Na paru wielebnych spadła jednak ręka sprawiedliwości. Ksiądz Sławomir A. został zatrzymany w Anglii pod zarzutem krzywdzenia dzieci; polska prokuratura podjęła starania o jego ekstradycję. Ks. Jan Wodniak, oskarżany o setki gwałtów, może zostać oficjalnie wpisany do rejestru pedofilów. Dwaj księża z Bytomia znaleźli się wśród 10 oskarżonych o wyłudzenia na kwotę 32 mln zł. Duchowny prowadzący popularny kanał modlitewny Teobańkologia (650 tysięcy subskrybentów!) zawiesił działalność, gdy jedna z wiernych zarzuciła mu „kontrowersyjne praktyki”, np. przykładanie krzyża do intymnych części ciała. Spieszmy się rozliczać księży, bo nie wiadomo, czy za dwa lata nie odzyskają statusu świętych krów.

DWA LATA JAK DLA BRATA

Ministerstwo Sprawiedliwości proponuje nie karać więzieniem za obrazę uczuć religijnych – groziłaby za to tylko grzywna lub ograniczenie wolności. Rzecz jasna, zaprotestowali biskupi. Zdaniem Konferencji Episkopatu Polski, ochrona uczuć religijnych nie może być „iluzją”, a sankcja do dwóch lat odsiadki jest niezbędna, „by przeciwdziałać przypadkom znieważania przedmiotów czci lub miejsc kultu”. Takich przypadków notuje się kilkadziesiąt rocznie, lecz doniesienia urażonych wiernych rzadko kończą się wyrokiem skazującym. Sądy zwykle dzielą włos na czworo, zamawiają opinie i kontropinie biegłych, na końcu zaś uniewinniają Nergala, a jeśli nawet łupną Dodzie 5 tys. zł grzywny, to potem Europejski Trybunał Praw Człowieka zasądza jej 10 tys. euro zadośćuczynienia za naruszenie wolności wypowiedzi. Bardziej radykalni niż Żurek wywalilibyśmy cały art. 196 kk do kosza, gdyż wszechmogący Bóg, jeśli istnieje, sam może pomścić swoje krzywdy, np. celnym uderzeniem pioruna.

ZAMACH NA ARCYBISKUPA?

To nie są słudzy Boga. To są słudzy szatana w sutannach” – powiedział o swoim byłym szefie zbuntowany były ksiądz Daniel Galus, który założył własny ośrodek kultu – „pustelnię”, pod ładną nazwą Wspólnota Miłość i Miłosierdzie Jezusa, w Czatachowej. O jego wojnie z abp. Wacławem Depo, metropolitą częstochowskim, pisaliśmy wielokrotnie. Teraz weszła w nową fazę. Rok temu prokuratura otrzymała zawiadomienie o planowanym zamachu na abp. Depo i od razu zaczęła sprawdzać, czy podżegał do niego były ksiądz Galus. Nic więcej nie ujawniono, a chcielibyśmy wiedzieć, czy było to realne zagrożenie, czy zamachowiec miał broń i plan działania oraz czy wysłał go Galus – czy po prostu Depo wpadł w histerię. Gdy badała to prokuratura, guru z Czatachowej wezwał wszystkich mieszkańców, którzy nie należą do jego wspólnoty, do opuszczenia wsi. Wkurzona kuria częstochowska zażądała eksmisji „sekty Galusa” z kościelnej ziemi. Spór rozstrzygnie sąd – początek procesu w marcu.

OBRONA CHRZEŚCIJAN

Pomysł ziobrystów, wsparty przez Ordo Iuris, czeka w „lasce marszałkowskiej”. Zakłada zaostrzenie kar za obrazę uczuć religijnych i „wyszydzanie Kościoła”. Za to ostatnie można by dostać dwa lata. „Składanie projektu ustawy o obronie chrześcijan w kraju, w którym to chrześcijanie prześladują ludzi, zmuszając ich – pod groźbą kary – do życia według zasad ich religii, oznacza, że jesteśmy bardzo blisko przekształcenia Polski w fundamentalistyczne państwo wyznaniowe” – pisze Eliza Michalik.

eprasa.pl 1a7ca6177b

Kurniki z błogosławieństwem proboszcza



fot. Montaż na podstawie fot. autora

Z prośbą o pomoc pisali już do prezydenta, Ministerstwa Klimatu i Środowiska, Wód Polskich, sanepidu, Rzecznika Praw Obywatelskich, władz Poleskiego Parku Narodowego. Wszystko po to, by zapobiec budowie ferm drobiu w podlubelskich gminach Stary Brus i Wyryki. „Przeciwko sobie mamy ogromną firmę, samorząd, a nawet lokalne media” – mówią „FpM” protestujący.

Proboszcz parafii pw. św. Mikołaja w Lubieniu w podlubelskiej gminie Wyryki – tej, w której we wrześniu ub.r. pocisk uderzył w budynek mieszkalny – podczas niedzielnej mszy wezwał parafian do symbolicznego gestu wsparcia dla firmy Wipasz S.A. W odpowiedzi część wiernych wyszła z kościoła.

„(…) W swoim kazaniu ksiądz powiedział, że od dłuższego czasu modlił się o pojawienie się inwestora, który mógłby wnieść do lokalnej gospodarki ożywienie, stworzyć miejsca pracy i zatrzymać proces emigracji młodych ludzi. Ku jego radości, taki inwestor się pojawił. Ksiądz zaapelował o deklaracje mieszkańców chętnych do podjęcia zatrudnienia. Według niego, miałby to być symbol gotowości lokalnej społeczność na rozwój… To wszystko bzdury! My nie chcemy tutaj ani kurników, ani takiej pracy. Proszę zainteresujcie się sprawą…” – pisali do naszej redakcji mieszkańcy Wyryk.

Pojechałam na miejsce. Okazało się, że wątek księdza to tylko wierzchołek góry lodowej, a raczej sterty kurzych odchodów, które mogą zalać nieskażone dotąd przemysłem gminy Wyryki i Stary Brus.

Kraina dzikiej przyrody

Położone w powiecie włodawskim na Lubelszczyźnie gminy Wyryki i Stary Brus stanowią serce Polesia Zachodniego. To region o unikatowych walorach przyrodniczych, zdominowany przez torfowiska, lasy, jeziora i mokradła, oferujący doskonałe warunki do ekoturystyki. Decydować o przyszłości tego nieskażonego jeszcze przemysłem terenu powinny, m.in. Poleski Park Narodowy, Sobiborski Park Krajobrazowy, europejska sieć Natura 2000, liczne rezerwaty. Coraz chętniej kupują tutaj nieruchomości „uciekinierzy” z dużych miast, którzy szukają wytchnienia na łonie natury.

Miesiąc oczekiwałam odpowiedzi na „pytania do publikacji prasowej”. Swoje pierwsze kroki kieruję więc do Urzędu Gminy Wyryki.

– Wszędzie tam, gdzie firma Wipasz planuje swoje inwestycje, pojawia się wiele pytań, zarzutów, niejasności. My, na przekór temu wszystkiemu, staramy się przeprowadzić ten proces inwestycyjny najbardziej jak możemy transparentnie. Raport środowiskowy został udostępniony na naszej stronie BIP; oczywiście w porozumieniu z firmą Wipasz, bo jest to dokument prywatny, objęty ochroną praw autorskich – zapewnia Bernard Błaszczuk, wójt gminy Wyryki.

W BIP (Biuletynie Informacji Publicznej) gminy faktycznie można znaleźć dokumenty dotyczące ferm drobiu. Brakuje jednak ważnych pism dyrektora Regionalnego Zarządu Gospodarki Wodnej (Wody Polskie), Państwowego Powiatowego Inspektoratu Sanitarnego i lubelskiego regionalnego dyrektora Ochrony Środowiska (RDOŚ).

– Przeciwko budowie protestują stowarzyszenia, które nawet nie działają na naszym terenie: najbliższe nam terytorialnie Stowarzyszenie Kocham Polesie, zarejestrowane w Warszawie Koło Łowieckie „Żbik” i organizacja Otwarte Klatki. Mimo to uznaliśmy te podmioty, jak i mieszkańców gminy, jako strony postępowania decyzyjnego w sprawie tej inwestycji – przekonuje wójt.

Gminni urzędnicy zapewniają mnie, że podczas zorganizowanej przez inwestora wycieczki do istniejącej już fermy w Kątach (gm. Kodeń) czuli jedynie „zapach parowanych ziemniaków z osypką” i „wilgotnej słomy”. Nadmieniają, że żaden z protestujących nie wybrał się z nimi. Dodają też, że petycje podpisane przez kilkaset sprzeciwiających się budowie ferm drobiu osób nie są wiarygodne, bo widnieją pod nimi podpisy osób spoza gminy albo takich, które wyjechały w poszukiwaniu pracy. Tłumaczą też, że fermy są wielką szansą na walkę z bezrobociem. Według GUS, stopa bezrobocia w Polsce wynosiła na koniec 2025 r. 5,7 proc. W powiecie włodawskim jest znacznie gorzej.

– Przy 17,8 proc. bezrobociu oraz trudnym położeniu geopolitycznym nowe inwestycje są jedyną szansą na zahamowanie dramatycznego wyludniania się wschodniej Lubelszczyzny. Jeśli nie stworzymy tu perspektyw, problem demografii pogrąży nasz region, a mieszkańcy zostaną zmuszeni do emigracji zarobkowej – mówi „FpM” Mariusz Zańko, starosta powiatu włodawskiego. – Jako samorządowcy musimy szukać szans rozwojowych, zawsze wsłuchując się w głos mieszkańców, bo to właśnie oni oczekują stabilnych miejsc pracy, by nie musieli opuszczać powiatu włodawskiego. (…) Liczę przy tym na rzetelny dialog: warto, aby strony sporu chciały zobaczyć, jak nowe technologie wyglądają w praktyce podczas wizji lokalnych, zamiast odrzucać je bez sprawdzenia faktów – mówi starosta.

W Starym Brusie do tej pory też nikt nie zapytał mieszkańców o zdanie. Dlaczego?

– Żeby cokolwiek konsultować, trzeba wiedzieć, co jest przedmiotem konsultacji. Przed złożeniem wniosku nie było projektu, dokumentacji ani procedury, do której mieszkańcy mogliby się odnieść. Konsultacje społeczne nie polegają na dyskusjach o domysłach czy ogólnych zapowiedziach, tylko na odniesieniu się do konkretnych rozwiązań. Ten moment pojawia się dopiero wtedy, gdy inwestycja wchodzi w formalny tryb postępowania i właśnie na tym etapie dziś jesteśmy – tłumaczy Patrycja Zińczuk, wójt gminy Stary Brus.

Urząd Marszałkowski Województwa Lubelskiego pozytywnie zaopiniował budowę ferm drobiu na terenie obu gmin. „(…) Planowane przedsięwzięcie nie spowoduje realnych, negatywnych skutków w zakresie naruszenia interesów osób trzecich i (…) ograniczają zagrożenia dla zdrowia i życia ludzi” – napisał rzecznik urzędu Remigiusz Małecki.

eprasa.pl 1a7ca6177b

NIE dla fermy drobiu...

Jednak mieszkańcy obu gmin robią, co mogą, by zatrzymać budowę.

„Uważamy, że planowana inwestycja spowoduje: zwiększony ruch samochodów ciężarowych i wzrost zagrożeń drogowych na wąskich lokalnych drogach, uciążliwy hałas i fetor, realne obniżenie wartości okolicznych nieruchomości, pogorszenie warunków życia i odpoczynku mieszkańców i turystów" – czytamy w podpisanej przez 800 osób (cała gmina liczy 1 791 mieszkańców) petycji do wójt gminy Stary Brus.

Podczas ostatniej, XXVIII sesji Rady Powiatu we Włodawie kilkunastoosobowa reprezentacja mieszkańców Wyryk próbowała przekonać radnych, by dalej inwestowali w turystykę oraz rekreację i nie ulegli presji inwestorów na lokalizowanie w powiecie przemysłowych ferm, biogazowni i elektrowni fotowoltaicznych.

– (...) Obszar, w którym turystyka i rekreacja stanowią fundament lokalnej gospodarki i mają realny potencjał na rozwój, zasługują na troskę, ochronę i mądre zarządzanie, a nie przemysłową transformację, która zniszczy jego naturalne wartości. (...) Polesie od zawsze opierało się na małych i średnich gospodarstwach rolnych, tworzących lokalną gospodarkę i współistniejących z otaczającą przyrodą. (...) Wprowadzenie do powiatu wielkich ferm nie wzmocni lokalnego rolnictwa. Doprowadzi do jego stopniowego zaniku, odbierając nam – mieszkańcom – źródła utrzymania – przekonywali.

Wystarczyło kilka minut w gminie Stary Brus, by mieszkańcy pokierowali mnie do członków społecznego komitetu „NIE dla FERMY Drobiu w gm. ST. BRUS".

– Zielone fermy... – prycha młody mężczyzna. – Jak to może być ekologiczne, jak kurczak rośnie w cztery-pięć tygodni zamiast w pół roku? – pyta.

– Do wojewody trafiła już skarga dotycząca zastraszania pracowników urzędu i presji na radnych w sprawie inwestycji. Ja tam niczego nie widziałem, ale tutaj większość ludzi jest przeciwko, tylko boją się mówić – dodaje inny.

– A pewnie, że jestem przeciwna, najbardziej boję się o wodę, ale wątpię w powodzenie protestu. Pieniądz zawsze robi swoje. Nikt nie liczy się z konsekwencjami... – mówi mi młoda kobieta.

W gminie Stary Brus kurniki miałyby stanąć tuż za szkołą podstawową i hydrofornią.

– Mamy poważne wątpliwości co do rzetelności raportu środowiskowego przedstawionego przez firmę Wipasz. Pomija on istniejące ujęcie wody. Odnosi się do starej studni z lat sześćdziesiątych – wyjaśnia jedna z protestujących kobiet.

– Ferma przewiduje obsadę zwierząt około dwudziestokrotnie wyższą niż dopuszczalny próg 210 DJP. Zgodnie z przepisami, taka skala jest zawsze uznawana za znacząco oddziaływającą na środowisko. To oznacza, że nie mówimy już o rolnictwie tylko o przemyśle – dodaje kolejna.

– Z informacji potwierdzonych przez samorząd jasno wynika, że obietnice inwestora dotyczące budowy nowej drogi do przemysłowej fermy drobiu nie mają obecnie żadnego formalnego ani prawnego potwierdzenia. Transport związany z funkcjonowaniem fermy będzie odbywał się po istniejących drogach gminnych, czyli w pobliżu szkoły, biblioteki, ośrodka zdrowia, a także prawdopodobnie w rejonie ujęcia wody – mówi następna.

– A co z odbiorem odchodów? – pytają protestujący. – W ciągu roku w tych czternastu kurnikach ma odbywać się siedem cykli chowu kurcząt – milion trzydzieści sześć tysięcy sztuk każdy. Do zagospodarowania ich odchodów potrzeba ponad dwa i pół tysiąca hektarów ziemi. Z deklaracji rolników, którzy mają to odbierać, wynika, że mają oni jedynie sto sześćdziesiąt hektarów...

– Dodatkowo raport przedstawiony przez firmę Wipasz wskazuje, że odbiór odpadów z terenu ferm ma być realizowany przez firmy zewnętrzne. To oznacza, że inwestor zdejmuje z siebie bezpośrednią odpowiedzialność. W przypadku nieprawidłowości bardzo trudno będzie wskazać winnego... – zarzucają mnie argumentami.

Im dłużej rozmawiamy, tym rosnące emocje coraz bardziej rozwiązują języki.

– Próbują nam wmawiać, że tu setki miejsc pracy powstaną. To bzdura. Wiemy od mieszkańców innych wsi, w których istnieją już fermy drobiu firmy Wipasz, np. z Kąt, Międzyrzeca Podlaskiego i Kwasówki, że zatrudnienie znalazło tam zaledwie kilku, może kilkunastu miejscowych – przekonują.

Postulaty protestujących poparły m.in. Związek Pszczelarzy „Podlasie" z Białej Podlaskiej i Koalicja Społeczna Stop Fermom Przemysłowym. Postępowanie środowiskowe nadal trwa. Wody Polskie, sanepid i RDOŚ wezwały inwestora do uzupełnienia dokumentacji, co jest standardowym elementem tego typu procedur. Beta Sielewicz, regionalny dyrektor ochrony środowiska z Lublina, w piśmie z 27 stycznia br., wezwała firmę Wipasz m.in. do wskazania, czy planuje podjęcie dodatkowych działań w zakresie eliminacji uciążliwości odorowych. Zawartą w raporcie opinię, że fermy nie zaburzą cech krajobrazu nazwała nieuzasadnioną.

Pomocna dłoń?

W rozmowach ze mną mieszkańcy obu gmin najczęściej dzielą się obawami o „kupowanie przychylności mieszkańców".

– Tu dadzą, tam dadzą i nagle wszyscy są przychylni fermom. Księża też... – słyszę.

Zapytałam, czy w 2025 r. i w jakiej kwocie Fundacja Wipasz Pomocna Dłoń wspierała instytucje z terenu obu gmin.



„W 2025 roku do Fundacji Wipasz – Pomocna Dłoń z gmin Stary Brus oraz Wyryki wpłynęło kilka wniosków o wsparcie finansowe. W zdecydowanej większości przypadków Fundacja podjęła decyzję o ich pozytywnym rozpatrzeniu, a za czym idzie – udzieleniu pomocy finansowej mieszkańcom. Udzielanie tego typu pomocy jest realizacją misji Fundacji jak i firmy Wipasz, polegającej na wspieraniu społeczności lokalnych. Szczegółowe informacje dotyczące beneficjentów oraz przyznanych kwot zostaną przedstawione w oficjalnym sprawozdaniu finansowym Fundacji za 2025 rok po jego zatwierdzeniu" – odpisała Paulina Wiśniewska z Wipasz S.A.

W lokalnych mediach bez trudu można znaleźć finansowane przez inwestora artykuły sponsorowane. „Wipasz przechodzi do działania" – portal Elbi.pl, „Zielone fermy po latach funkcjonowania. Czy obawy się sprawdziły" – tygodnik „Super Tydzień" ze stycznia 2026 r. albo list otwarty z logiem Wipasz S.A. skierowany do protestujących – „Dlaczego kłamiecie?". W sieci można też trafić na petycję „TAK dla rozwoju Gminy Stary Brus", wyrażającą poparcie dla planowanej inwestycji Zielonych Ferm Wipasz S.A. w gminie Stary Brus. Podpisały ją 1 293 osoby.

Firma walczy o swój wizerunek.

– Dwa lata temu razem z mieszkańcami Kodnia, Żeszczynki i kilku innych wsi wziąłem udział w proteście przeciwko ekspansji przemysłowych ferm drobiu na wschodzie Polski. Wkrótce po tym koncern Wipasz skierował przeciwko mnie prywatny akt oskarżenia. (...) Polskie prawo, które powinno chronić mieszkańców wsi, środowisko i zwierzęta, od dawna nie nadąża za rosnącą skalą produkcji. Kontrole przemysłowych ferm rzadko odzwierciedlają rzeczywistą skalę problemu. A mimo to – albo właśnie dlatego – próbowano nam odebrać jedyne narzędzie, jakie mamy w tej nierównej walce: nasz głos – mówi „FpM" Bartosz Zając, koordynator Koalicji Społecznej Stop Fermom Przemysłowym i aktywista Otwartych Klatek.

Po dwóch latach sądowej walki został oczyszczony z zarzutów.

Kodeń i inne fermy

Już w 2023 r. przed bramą zakładu Wipasz w Międzyrzecu Podlaskim kilkadziesiąt osób sprzeciwiało się budowie kolejnych ferm drobiu na wschodzie kraju.

„To jest nieprawda, że przy kurnikach jest tak wspaniale, że nic nie śmierdzi, nic nie przeszkadza. Obiecywali nam, że w Kwasówce powstanie instytut i cztery kurniki. Już jest ich dwanaście. Znowu ma powstać osiem kurników. Drogi są zniszczone, a Wipasz miał je naprawić..." – mówił wtedy portalowi Podlasie24.pl mieszkaniec Kwasówki (gm. Drelów).

Ja, dotarłam do mieszkańców gm. Kodeń.

– Mieszkam przy drodze, która prowadzi do fermy w Kątach. Najgorszy jest hałas związany z transportem, który odbywa się z reguły w nocy. Smród najbardziej roznosi się, jak rolnicy rozrzucają pomiot (odchody – red.) po polach. Zanim jednak to nastąpi, składują odchody przy drogach, i z tych kopców wydziela się okropny smród – mówi zastrzegający sobie anonimowość mężczyzna.

– Odór najgorzej znieść latem i wczesnym rankiem. Uciążliwy jest też hałas niosący się z hal. Chodzi głównie o wentylatory – dodaje drugi.

Współpracujący z Koalicją Społeczną Stop Fermom mecenas Artur Zalewski uważa, że fermy w Kodniu „zostały zrealizowane niezgodnie z prawem budowlanym, gdyż nie zostały określone wymogi planistyczne realizacji tej inwestycji, a warunki środowiskowe realizacji inwestycji zostały określone z naruszeniem prawa". Z kolei na terenach przyległych do zakładu Wipasz S.A. w Międzyrzecu Podlaskim po kontroli z końca ub.r. Wojewódzki Inspektorat Ochrony Środowiska w Lublinie – Delegatura w Białej Podlaskiej, stwierdził przekroczenie dopuszczalnych norm hałasu w porze nocnej, co oznacza naruszenie standardów środowiskowych.

***

O tej i dziesiątkach podobnych spraw w całej Polsce usłyszę jeszcze wiele razy. Brak jasnej ustawy regulującej budowę wielkich ferm drobiu to dziś jedna z największych luk w polskim prawie. Wskutek nieprecyzyjnych przepisów – dotyczących lokalizacji, skali produkcji i ochrony środowiska – rolnicze wsie coraz częściej zmieniają się w zaplecze przemysłowej hodowli, a ich mieszkańcy zostają z problemem sami. O regulacje prawne dotyczące budowy takich ferm od lat walczą organizacje pozarządowe.

Katarzyna Wilk-Wojtczak

eprasa.pl 1a7ca6177b

Pytania dotyczące Biblii (227)

O religii katolickiej(1)



Przed tygodniem pisałem o najważniejszych elementach religii żydowskiej Jezusa, której pozostał wierny aż do śmierci. To znaczy, że wbrew temu, co głoszą różne wspólnoty chrześcijańskie z katolicyzmem na czele, Jezus nie jest założycielem ani chrześcijaństwa, ani tym bardziej Kościoła rzymskokatolickiego.

Nie od dziś wiadomo, że w formie zinstytucjonalizowanej Kościół rzymskokatolicki powstał dopiero w IV w. Natomiast jego przejawy kultu (praktyki i zwyczaje) oraz dogmaty wiary, pojawiły się jeszcze później. Znamienne jest także, że wiele z nich posiada pogańskie korzenie, a mimo to traktowane są jako fundamentalne prawdy wiary religii katolickiej, rzekomo objawionej przez samego Boga. Oto niektóre z nich.

Nauka o Bogu w Trójcy Świętej

Wbrew temu, że Jezus nie uważał siebie za Boga, za wszechmocnego (Mk 6,5; Mk 10,40; Mt 20,23), wszechwiedzącego (Mk 13,32; Mt 24,36), absolutnie dobrego (Mk 10,18; Mt 19,17; Łk 18,19) i nie znał pojęcia Trójcy, Kościół rzymski w IV w. sformułował i zdogmatyzował naukę o Trójcy Świętej na dwóch pierwszych soborach: w Nicei (325 r.) i Konstantynopolu (381 r.). W najnowszym Katechizmie czytamy: „Trójca jest jednością*. Nie wyznajemy trzech bogów, ale jednego Boga w trzech Osobach: Trójcę współistotną (…). Ojciec jest tym samym, co Syn, Syn tym samym, co Ojciec, Duch Święty tym samym, co Ojciec i Syn, to znaczy jednym Bogiem co do natury” (Warszawa 1994, s. 69, p. 253).

A co mówi Biblia? Mówi, że jest tylko jeden Bóg: „Słuchaj, Izraelu! Pan jest Bogiem naszym, Pan jedynie!” (Pwt 6,4, por. Mk 12,29; Ps 83,19); „Ja jestem Pan i nie ma innego, oprócz mnie nie ma Boga” (Iz 45,5).

Nauka o Trójcy nie ma więc nic wspólnego ani z Biblią hebrajską, ani z nauczaniem Jezusa, który sam modlił się do jedynego Boga, wołając: „Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił?” (Mt 27,46). Nie ma też nic wspólnego z następującym apostolskim wyznaniem: „Jedyny, który ma nieśmiertelność, który mieszka w światłości niedostępnej, którego nikt z ludzi nie widział i widzieć nie może; jemu niech będzie cześć i moc wieczna” (1 Tm 6,16, por. 1 Tm 1,17).

Skąd zatem wywodzi się nauka o Trójcy? Ze starożytnych religii pogańskich, w których od najdawniejszych czasów istniały triady bóstw. Na przykład, w Egipcie taką triadę tworzyli Izyda, Ozyrys i Horus; w Babilonie – Isztar, Sin i Szamasz lub Ea, Marduk i Gibil; w Grecji – Zeus, Posejdon i Hades, a w Cesarstwie Rzymskim tzw. triadę kapitolińską tworzyli: Jowisz, Junona i Minerwa. Na rozwój nauki o Trójcy duży wpływ miała także filozofia grecka oraz względy polityczne, czyli nacisk cesarzy, dla których ważniejsza była jedność imperium niż prawdy wiary.

Nauka o wcieleniu Słowa

Niestety, mimo tych oczywistych faktów, Kościół nadal obstaje przy tej doktrynie i próbuje uzasadnić ją m.in. nauką o wcieleniu Słowa. Zgodnie ze zwięzłym streszczeniem II soboru watykańskiego, twierdzi, że Jezus „jest Słowem wiekuistym, zrodzonym z Ojca przed wszystkimi wiekami i współistotny z Ojcem, czyli (po gr.) *homousios to Patri*, przez którego wszystko się stało. Przyjął On ciało za sprawą Ducha Świętego z Maryi Dziewicy i stał się człowiekiem, równy Ojcu co do bóstwa, a mniejszy od Ojca ze względu na człowieczeństwo” (Wyznanie wiary papieża Pawła VI wygłoszone 30 czerwca 1968 r. na Placu św. Piotra w Rzymie).



Co sądzić o tym uzasadnieniu? W całości oparte jest ono na spekulacjach. Biblia bowiem nigdzie nie mówi, że Jezus został zrodzony przed wszystkimi wiekami; że jest dosłownym Synem Boga i samym Bogiem zarazem, przez którego wszystko się stało i dlatego jest równy Ojcu. Wszystko jest nieprawdą, ponieważ Jezus urodził się w określonym miejscu i czasie (ok. 7/6 r. p.n.e.). Miał biologicznych rodziców, bo bez biologicznego ojca i cielesnego rodowodu nie mógłby być potomkiem Dawida (por. 2 Sm 7,12-14; Jr 33,15.17). Nie mógłby nawet pełnić służby kapłańskiej (Neh 2,61-62), a cóż dopiero mówić o dziedziczeniu godności mesjańskiej (królewskiej), aby „zasiąść na tronie Dawida” (Jr 22,30, por. Jr 33, 15.17). Poza tym, w Ewangelii Marka Jezus dopiero przy chrzcie został nazwany Synem Bożym (Mk 1,11). Że nie był nim wcześniej w dosłownym sensie czytamy również w Ewangelii Łukasza: „Ten będzie wielki i będzie nazwany Synem Najwyższego. I da mu Pan Bóg tron jego ojca Dawida” (Łk 1,32) oraz w proroctwie króla Dawida, „iż jego cielesny potomek zasiądzie na tronie jego” (Dz 2,30). Wprawdzie Kościół powołuje się na tzw. ewangelie dzieciństwa (pełne sprzeczności), te jednak – jak uważa coraz więcej biblistów – są późniejszym dodatkiem redakcyjnym. Powołuje się także na Ewangelię Jana. Jednak liczne wypowiedzi zawarte w tej ewangelii, począwszy od stwierdzenia: „A Słowo stało się ciałem i zamieszkało wśród nas, i ujrzeliśmy chwałę jego, jaką ma jedyny Syn od Ojca, pełen łaski i prawdy” (J 1,1-14), nie znajdują potwierdzenia ani w Biblii hebrajskiej, ani w ewangeliach synoptycznych. Jakkolwiek bowiem Biblia mówi o twórczej mocy słowa Bożego (Rdz 1,3; Ps 33,6.9), to jednocześnie wynika z niej, że dzieło stworzenia było wyłącznie dziełem Boga: „Tak mówi Pan, twój Odkupiciel i twój Stwórca: Ja jestem Pan, Stwórca wszystkiego, Ja sam rozciągnąłem niebiosa, sam ugruntowałem ziemię – kto był ze mną?” (Iz 44,24, por. Iz 45,18-19).

Tak więc, chociaż katolickie sofizmaty na pozór mogą wydać się poprawne, w rzeczywistości oparte są na fałszywych argumentach.

Nauka o Trójcy i wcieleniu Słowa, tak jak i nauka o Maryi oparte zostały jedynie na przypuszczeniach i teologicznych spekulacjach oraz motywach wywodzących się ze starożytnych pogańskich religii, w których kult synów bożych oraz bogiń-matek znany był na długo przed powstaniem katolickiego kultu maryjnego.

Nauka o Maryi, matce Jezusa

Podobnie jest z tzw. mariologią. Bo chociaż według Kościoła katolickiego Maryja była matką Boga, Jezusa Chrystusa i pozostała na zawsze dziewicą, bez zmazy grzechu pierworodnego i została z ciałem i duszą wniebowzięta, to żadne z tych twierdzeń nie znajduje uzasadnienia w ewangeliach. Możemy więc zbadać całą Biblię, werset po wersecie, a mimo to nie znajdziemy w niej ani razu wyrażeń „Bogarodzica” (*Thetokos*), „Matka Boga”, „Zawsze Dziewica” czy pozostałych. Przeciwnie! Ewangelie bowiem nie tylko mówią o wyraźnym dystansie Jezusa do Marii (M 12,46-50; Mk 3,31-35; Łk 8,19-21; Łk 11,27-28), ale także o tym, że Maria była matką Jakuba, Jozesa (Józefa), Judy, Szymona i przynajmniej dwóch córek (Mk 3,6; Mt 13,55-56, por. Mt 1,25).

Wszystkie dogmaty maryjne sformułowano też wiele wieków po śmierci Jezusa. „Bogarodzicą” nazwano Marię dopiero na soborze w Efezie w 431 r. Dogmat o wiecznym dziewictwie w 649 r. ogłosił papież Marcin I; o niepokalanym poczęciu – Pius IX w 1854 r., a o cielesnym wniebowzięciu zdecydował w 1950 r. papież Pius XII.

A co ze słowami Jezusa skierowanymi podczas męki do Marii i swego ucznia: „Niewiasto, oto syn twój! (…) Oto matka twoja” (J 19,26-27)? Tych słów nie znajdziemy w żadnej ewangelii synoptycznej. Wprawdzie wymieniają one pewne „niewiasty, które przypatrywały się z daleka, między nimi Maria Magdalena i Maria, matka Jakuba Mniejszego, i Jozesa, i Salome” (Mk 15,40), ale nie wspominają ani o matce Jezusa, ani o żadnym z apostołów.

Reasumując, zarówno nauka o Trójcy i wcieleniu Słowa, jak i nauka o Maryi oparte zostały jedynie na przypuszczeniach i teologicznych spekulacjach oraz motywach wywodzących się ze starożytnych pogańskich religii, w których kult synów bożych oraz bogiń-matek znany był na długo przed powstaniem katolickiego kultu maryjnego.

Bolesław Parma

* łaciński trinitas nie oznacza „trójjedyności”, lecz „trójcę”

eprasa.pl 1a7ca6177b

Spod kardynalskiego kapelusza



Prezydentowa bliska ludzkich spraw

Ze zdumienia przecierałem oczy słuchając wywiadu, jakiego po półrocznym pełnieniu funkcji pierwszej damy udzieliła Marta Nawrocka stacji TVN24. Jej wypowiedzi były tak szokujące, że zdecydowałem się na kilkakrotne jego odtworzenie. Szok jednak nie minął.

Rozpocznę od tego, że Marta Nawrocka opowiadała, że nie wyobraża sobie, aby jako pierwsza dama nie była aktywna. W związku z tym postanowiła założyć fundację, którą nazwała Blisko Ludzkich Spraw. To zapewne cenna inicjatywa prezydentowej, bo jej poprzedniczka w Pałacu Prezydenckim Agata Kornhauser-Duda przez dziesięć lat milczała jak zaklęta.

Jedyny autorytet

Dziennikarka TVN24 Joanna Kryńska dopytywała, do kogo chce nawiązywać w tej swojej aktywności i kto jest dla niej wzorem do naśladowania. Wszyscy wiemy, że jedynie Jolanta Kwaśniewska, małżonka prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego, była znana ze swojej aktywności społecznej i prowadzenia fundacji Porozumienie bez Barier. Jednak Marta Nawrocka stwierdziła, że nikogo nie będzie naśladowała i dodała, że dla niej jedynym autorytetem jest papież Jan Paweł II. Trudno to nawet komentować w kontekście jej fundacji.

Nieco zabawne były wypowiedzi żony prezydenta, gdy wspominała o swojej karierze w służbach skarbowych. Wynikało z nich, że w ciągu 18 lat pracy, 39-letnia obecnie pani prezydentowa – już formalnie emerytka – brała bezpośredni udział w walce z mafiami podatkowymi i hazardowymi. Ryzykowała życiem każdego dnia. Rozumiem, że teraz, gdy zasiada w Pałacu Prezydenckim, mafie w Trójmieście odetchnęły z ulgą. Zdumiała mnie tylko wypowiedź, gdy dociekliwa dziennikarka dopytywała, czy Nawrocka użyła kiedykolwiek broni służbowej. Pani prezydentowa przyznała, że nigdy nic takiego nie miało miejsca. Strzelała tylko na strzelnicy i to dość dawno, i że teraz jej tego brakuje. Pierwszy raz widziałem młodą blondynkę, która rozbijała groźne mafie siłą swojej urody. I to każdego dnia.

Dobroć kontra mąż

Fundacja pani prezydentowej ma pomagać dzieciom z małych miast oraz obszarów wiejskich w zwalczaniu mowy nienawiści w sieci, a także rozbudowywać ich pasje i talenty. Piękna inicjatywa. Tylko dziwnie brzmi, gdyż to właśnie jej małżonek zawetował wiele ustaw, w tym tę, która podejmowała próbę większego kontrolowania mowy nienawiści w sieci.

Gdy dziennikarka pytała pierwszą damę o jej stosunek do wielu kwestii społecznych, od lat wzbudzających silne emocje, było jeszcze gorzej, ponieważ albo nie odpowiadała na pytanie, albo odwracała głowę z wyrazem wyraźnego obrzydzenia. Pierwszy raz widziałem, aby dorosła kobieta, matka trójki dzieci tak reagowała na słowa o aborcji, antykoncepcji czy in vitro.

Niepokalane poczęcie

Marta Nawrocka jest zdecydowanie przeciwko aborcji, gdyż jako katoliczka, jak sama mówi: „przede wszystkim jestem za życiem". To chwalebne stwierdzenie, gdyby nie fakt, że te manifestowane wartości katolickie, których jest teraz taką gorliwą wyznawczynią, stoją w sprzeczności z jej doświadczeniem życiowym i decyzjami. Nieśmiało przypominam pani prezydentowej, wzorowej katoliczce, że miała zaledwie 16 lat, gdy zaszła w nieplanowaną ciążę. To chwalebne, że urodziła syna i wychowywała go jako samotna matka. To się zdarza i nie ma w tym niczego nadzwyczajnego, ale to chyba nie jest po katolicku, aby nastolatka uprawiała seks pozamałżeński.

Przypominam także obrończyni wartości katolickich z Pałacu Prezydenckiego, że swojego małżonka poznała też w nietypowych okolicznościach – na klatce schodowej domu, w którym mieszkała jej koleżanka, gdy młody Karol wyprowadzał psa na spacer. To piękna i wzruszająca historia, wręcz godna upamiętnienia. Ale nie do końca zgodna z nauczaniem Kościoła katolickiego, gdyż z wyliczeń stażu małżeńskiego i daty narodzin kolejnego syna państwa Nawrockich wynika jednoznacznie, że ich pociecha była zdecydowanie rekordowym wcześniakiem. Czy było to po katolicku? No, chyba że cud…

Podczas wywiadu Marta Nawrocka nie negowała, co prawda, konieczności wprowadzenia do polskich szkół edukacji zdrowotnej, ale zakwestionowała edukację seksualną, gdyż nie jest ona zgodna z nauczaniem Kościoła. Jak stwierdziła, właśnie dlatego postanowili z mężem nie wyrazić zgody, aby ich nastoletni syn, obecnie uczeń liceum, uczestniczył w tych zajęciach. Widać w rodzinie Nawrockich czas na poruszanie tematów dotyczących konsekwencji życia seksualnego, antykoncepcji i odpowiedzialności za drugiego człowieka jeszcze nie nadszedł.

Nieśmiało przypominam, że pan prezydent od dawna wstrzymuje się przed podpisaniem ustawy o uregulowaniu statusu rodzinnego osób żyjących w związkach nieformalnych. Państwo polskie, jak gdyby nie zauważa, że ponad dwa miliony naszych rodaków pozbawionych jest w ten sposób podstawowych praw. A może pierwsza dama przypomni swojemu katolickiemu małżonkowi, że ich najstarszy syn, jak donoszą media, od dawna mieszka i (o Boże!) żyje w grzechu ze swoją partnerką? Rozumiem, że wierni Kościołowi katolickiemu rodzice Daniela są spokojni, że „chociaż grzesznej antykoncepcji nie używają". Chwała Panu!

Za, a nawet przeciw

Także temat in vitro, tak głośno i burzliwie dyskutowany w naszym kraju, wywołał oburzenie Marty Nawrockiej. Zaczęło się dość miło, gdy stwierdziła, że rozumie pary, korzystające z tej metody, aby mieć dzieci. Sama zaszła trzy razy w ciążę w naturalny sposób, jest szczęśliwą matką i nie chce narzucać innym, jak powinni starać się o dzieci. Byłem mile zaskoczony taką wypowiedzą obrończyni wartości katolickich, ale moja radość była krótka. Gdy padło kolejne pytanie, czy państwo powinno pomagać finansowo takim parom podczas stosowania tej drogiej metody, żona prezydenta ponownie odwróciła głowę z takim obrzydzeniem, jakby to jej zaproponowano przymusowe in vitro i to na wizji. Natychmiast zażądała innych pytań.

Fundacja Pierwszej Damy nazywa się Blisko Ludzkich Spraw. To wzruszająca nazwa i na wielu może zrobić dobre wrażenie. Jednak wszystko wskazuje, że niestety nie będzie ona blisko wszystkich ludzi i ich spraw. No, chyba że te sprawy będzie konsultować z naszym episkopatem…

Ale wtedy to niech episkopat ją finansuje.

Andrzej Gerlach

Kościelny lunapark

Władze Zakopanego straciły cierpliwość do działań księdza. Sprawa nielegalnych karuzeli, namiotów z grami i straganów przed Sanktuarium Najświętszej Rodziny przy Krupówkach trafi do sądu.

Teren przed sanktuarium to jedno z najbardziej rozpoznawalnych miejsc w Zakopanem. Jego proboszcz ks. Bogusław Filipiak najwyraźniej za bardzo uwierzył w powiedzenie „prawo państwowe kończy się na progu kościelnym". Tuż przed świętami Bożego Narodzenia wydzierżawił teren prywatnej firmie. Ta przed wejściem do kościoła postawiła kilkunastometrową karuzelę w kształcie choinki (25 zł za jedną przejażdżkę). Obok niej stanęły stragany, namioty i urządzenia do gier zręcznościowych. „To są takie minitargi bożonarodzeniowe z atrakcjami dla dzieci. Potrwają do walentynek 2026 roku" – tłumaczył w rozmowie z „Tygodnikiem Podhalańskim" ks. Filipiak.

Takie zagospodarowanie terenu oburzyło nie tylko mieszkańców miasta i turystów, ale też miejskiego konserwatora zabytków. Jak się okazało, zgodę na „lunapark" wydał wojewódzki konserwator zabytków, który nie skonsultował się ze swoim miejskim odpowiednikiem. Pominął ustalenia zawarte w uchwale o parku kulturowym, niedopuszczające działalności handlowej i rozrywkowej w tym miejscu. Dodatkowo, zgodnie z dokumentami planistycznymi, teren przed kościołem przeznaczony jest wyłącznie na funkcje sakralne. Tymczasem ani parafia, ani prywatna firma, która wydzierżawiła teren, nie złożyły w magistracie żadnych dokumentów związanych z wydaniem pozwolenia na uruchomienie atrakcji.

– Od początku próbowaliśmy załatwić tę sprawę spokojnie. Były rozmowy, próby kontaktu bezpośredniego, sygnały wysyłane zarówno formalnie, jak i nieformalnie. Informowaliśmy, że taka działalność w tym miejscu jest sprzeczna z obowiązującymi przepisami i że oczekujemy usunięcia obiektów. Niestety, to nie przyniosło żadnego efektu – słyszymy od jednego z zakopiańskich urzędników.

Proboszcz nie przyjął też mandatów wystawionych przez straż miejską.

Po dwóch miesiącach lekceważenia cierpliwość burmistrza w końcu się wyczerpała. Władze miasta skierowały do Sądu Rejonowego w Zakopanem wniosek o ukaranie proboszcza.

Katarzyna Wilk-Wojtczak

eprasa.pl 1a7ca6177b

Państwo czuwa



Polacy są śledzeni na potęgę i nawet nie mają o tym pojęcia. Prawo do inwigilacji suwerena posiada aż 11 służb!

Są to: policja, Centralne Biuro Antykorupcyjne, Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego, Krajowa Administracja Skarbowa, Straż Graniczna, Agencja Wywiadu, Służba Wywiadu Wojskowego, Służba Kontrwywiadu Wojskowego, Biuro Nadzoru Wewnętrznego MSWiA, Służba Ochrony Państwa, Żandarmeria Wojskowa.

Służby mogą prowadzić obserwację, podsłuchiwać rozmowy telefoniczne, kontrolować korespondencję elektroniczną i tradycyjną, pobierać od operatorów dane telekomunikacyjne – informacje do kogo należy dany numer telefonu, dane o jego lokalizacji, wykazy połączeń oraz numer IP komputera.

Wolna amerykanka

Choć podsłuchiwanie rozmów odbywa za zgodą sądów, te nie mają możliwości aby sprawdzić, jakie narzędzia stosowane są do kontroli operacyjnej. Czy jest to tradycyjna „pluskwa”, Pegasus, czy też inne oprogramowanie szpiegowskie. Co ciekawe, również prokuratura (na zlecenie i pod nadzorem której działają służby) nie wie lub nie chce wiedzieć, jakie narzędzia są wykorzystywane do inwigilacji. Tak przynajmniej wynika ze stanowiska prokuratora krajowego Dariusza Korneluka, przedstawionego senatorom podczas posiedzenia Komisji Praw Człowieka i Praworządności (lipiec 2025 r.). A warto mieć na uwadze, że w 2024 r. kontrolą operacyjną objęto prawie 5,7 tys. osób. To oficjalne dane, choć – według tych nieoficjalnych – mogło być nawet 10 tys. inwigilowanych.

Natomiast pobieranie danych telekomunikacyjnych w Polsce odbywa się na tzw. rympał. Służby nie potrzebują do tego zgody sądu, bo wystarczy im stałe łącze, bez konieczności składania wniosków do dostawców usług telekomunikacyjnych. Policja i inne służby mają nie tylko niekontrolowany, ale i nielimitowany dostęp do gromadzonych przez operatora „informacji o rozpoczęciu, zakończeniu oraz zakresie każdorazowego korzystania z usługi świadczonej drogą elektroniczną”. A więc informacji o tym, że dana osoba korzystała z mediów społecznościowych, poczty internetowej, wyszukiwarki itp. Służby mogą pozyskiwać wrażliwe informacje nie tylko wówczas, gdy jest to konieczne do wykrywania najpoważniejszych przestępstw, ale także, gdy jest to dla służb po prostu wygodne, np. do celów politycznych. Tak jak to miało miejsce podczas policyjnej operacji „Sejm” w 2017 r. w Warszawie, gdzie inwigilowano protestujących przeciwko upolitycznieniu przez PiS wymiaru sprawiedliwości. Do niecnego procederu zaprzęgnięto nie tylko tajniaków, ale i funkcjonariuszy z elitarnego wydziału ds. walki z cyberprzestępczością, którzy, wykorzystując m.in. dane telekomunikacyjne, wiedzieli zawczasu, co planują antypisowscy „wywrotowcy”. W ten sposób przydybano członków organizacji młodzieżowych „związanych z opozycją” (m.in. Młodych Demokratów, Forum Młodych Ludowców, Federacji Młodych Socjaldemokratów), którzy spotkali się w klubokawiarni Państwomiasto ze Zbigniewem Hołdysem. Tymczasem zgodnie z ustawą o policji, czynności operacyjno-rozpoznawcze można prowadzić tylko w celu rozpoznawania, zapobiegania i wykrywania przestępstw i wykroczeń, poszukiwania osób ukrywających się przed organami ścigania lub wymiarem sprawiedliwości, poszukiwania osób, które na skutek wystąpienia zdarzenia uniemożliwiającego ustalenie miejsca ich pobytu należy znaleźć w celu ochrony ich życia, zdrowia lub wolności. Gdy nielegalne działania policji wyszły na jaw, ówczesny szef MSWiA Joachim Brudziński mówił, że stróże prawa dbali jedynie o bezpieczeństwo zgromadzonych (sic!).

Polska na cenzurowanym

W 2024 r. Europejski Trybunał Praw Człowieka – ETPC (w sprawie Pietrzak, Bychawska-Siniarska i inni przeciwko Polsce) stwierdził, że polskie przepisy dotyczące kontroli operacyjnej, gromadzenia danych telekomunikacyjnych i wykorzystywania ich przez służby, a także niejawnego nadzoru prowadzonego na podstawie ustawy antyterrorystycznej, naruszają Konwencję o ochronie praw człowieka i podstawowych wolności. Tym samym trybunał uznał, że prawo nie zapewnia wystarczających zabezpieczeń, aby zapobiec nadmiernemu korzystaniu z nadzoru i nadmiernej ingerencji w życie prywatne osób inwigilowanych.

Zdaje się jednak, że demokratyczna władza nie bardzo przejęła się wyrokiem ETPC, choć już w 2019 r. Adam Bodnar, jako Rzecznik Praw Obywatelskich, postulował wprowadzenie szeregu niezbędnych zmian mających ucywilizować inwigilację. Chodzi m.in. o utworzenie niezależnego organu, który prowadziłby nadzór nad działalnością policji i służb specjalnych. Taki urząd kontrolujący służby uprawnione do wykonywania czynności operacyjno-rozpoznawczych podlegałby Sejmowi, a jego członkowie objęci immunitetem byliby apolityczni, niezawiśli w wykonywaniu swoich zadań i niezależni od władzy wykonawczej. Urząd rozpatrywałby m.in. skargi obywateli na działania służb. Natomiast sędziowie rozpoznający wnioski o zastosowanie inwigilacji powinni mieć wgląd w całość informacji i materiałów o osobie inwigilowanej. Powinni też wiedzieć, jakimi technikami służby będą prowadzić czynności operacyjno-rozpoznawcze.

Obecne procedury nie dają im takich możliwości. Praktyka pokazuje, że służby mogą skutecznie manipulować sędziami w celu wyłudzenia zgody na prowadzenie inwigilacji. Przyznał to Igor Tuleya, który jako sędzia pionu karnego w Sądzie Okręgowym w Warszawie orzekał w sprawach stosowania kontroli operacyjnej. Tuleja stwierdził, że jest bardzo prawdopodobne, że wydał zgodę na użycie Pegasusa, nie mając świadomości, jaki system będzie wykorzystywany przez służby i była to „nieczysta gra służb i instytucji państwowych, do których sądy, ale przede wszystkim obywatel powinni mieć zaufanie”.

Wszechobecne kamery

Polacy są nie tylko na potęgę inwigilowani przez służby, ale też obserwowani przez kamery niemal na każdym kroku: na ulicach, w bankach, supermarketach, galeriach handlowych, obiektach sportowych, szpitalach, a nawet w szkołach. Oczywiście, w trosce o bezpieczeństwo…

Według danych Fundacji Panoptykon, monitoring wizyjny zainstalowany jest w 89 proc. polskich miast wojewódzkich i powiatowych. Tylko w samej Warszawie zainstalowano ponad 5 tys. kamer, nie wliczając placówek oświatowych. A zdaniem Rzecznika Praw Obywatelskich, monitorowanie szkół jest szczególnie niepokojące i „może stanowić formę ingerencji w prywatność uczniów, nauczycieli oraz innych osób znajdujących się na terenie obserwowanego budynku”. Jak wskazuje RPO, „dla legalności tego rodzaju kontroli istotne jest jednak, żeby ograniczenie to spełniało przesłanki określone w art. 31 ust. 3 Konstytucji RP, w tym wymóg ustawowej formy ograniczenia. Tymczasem do chwili obecnej żaden przepis rangi ustawowej nie upoważnił organów prowadzących – w sposób bezpośredni – do instalowania kamer monitorujących na terenie szkół i placówek oświatowych”.

Niepokojąco wygląda sytuacja w szpitalach, przychodniach lekarskich, hospicjach czy w zakładach opiekuńczo-leczniczych. Zgodnie obowiązującym prawem (znowu w trosce o bezpieczeństwo), dyrektorzy podmiotów leczniczych mogą instalować kamery w każdym pomieszczeniu, w którym udzielane są świadczenia zdrowotne, nawet w salach operacyjnych i w gabinetach lekarskich, co – według RPO – należy uznać „za istotną ingerencję w prawo do prywatności pacjenta”.

Nawet zbierając grzyby w lesie jesteśmy pod obserwacją kamer. Prawie każde nadleśnictwo w Polsce (a jest ich 430) zainstalowało system monitoringu. Leśnicy tłumaczą, że chodzi o bezpieczeństwo… Dzięki kamerom udaje się złapać złodziei drewna, kłusowników i tych, którzy zaśmiecają lasy. Można także podpatrywać miłosne uniesienia przedstawicieli *homo sapiens* i inne intymne czynności. Kamera aktywuje się czujnikiem ruchu, a strażnik leśny od razu może sprawdzić na monitorze czy ekranie telefonu komórkowego, co dzieje się w gęstwinie.

Andrzej Sikorski

eprasa.pl 1a7ca6177b

Jak Wielka Brytania buduje własny system społecznej tresury

Wielki Brat Jej Królewskiej Mości

Jeszcze niedawno była kolebką demokracji i wolności słowa. Dziś Wielka Brytania coraz częściej przypomina Chiny, państwo, które Zachód nominalnie krytykuje.



Tyle że zamiast brutalnej siły używa miękkich narzędzi: kamer i „niepodważalnych procedur". W białych rękawiczkach, ale z tym samym skutkiem: masz się bać, podporządkować i nie pytać.

Wielka Brytania (UK), niegdyś bastion wolności jednostki i niezależnego myślenia, zmienia się powoli, lecz nieubłaganie. Przypomina nie tyle sojusznika w walce o demokrację, co ucznia chińskiego modelu zarządzania społeczeństwem. Różni się tylko styl. Tam mamy państwo policyjne z batem. Tu – z tabelką w Excelu i broszurą o wartościach wspólnoty.

Chiny w wersji eksportowej

W Chinach przynajmniej wiadomo, kto rządzi, co wolno, a czego nie. W UK – wszystko jest grą pozorów. Możesz mówić, co chcesz, ale jeśli napiszesz coś „niewłaściwego" na Facebooku, nie zdziw się, gdy zapukają do ciebie funkcjonariusze, żeby „porozmawiać o treściach, które mogą budzić niepokój społeczny".

Oficjalnie – nie ma cenzury. W praktyce – ucz się kodować swoje myśli.

Kamery i twarze

W 2025 r. londyńska dzielnica Croydon została pierwszym miejscem w Wielkiej Brytanii, gdzie na stałe zamontowano kamery z technologią rozpoznawania twarzy (*Live Facial Recognition*). Urządzenia te w czasie rzeczywistym skanują przechodniów i porównują ich twarze z policyjnymi bazami danych. Władze chwalą się skutecznością – już ponad tysiąc zatrzymań w całym kraju.

Ale nikt nie mówi, kto tworzy te listy, jak się od nich odwołać, ani co się stanie, jeśli system się pomyli. W Chinach przynajmniej nikt nie udaje. W Wielkiej Brytanii wszystko opakowane jest w język „transparentności", „troski o wspólnotę" i „działań zapobiegawczych". Orwell by się uśmiechnął. Albo zapłakał.

Gra w kolory i jesteś, nawet jeśli cię nie ma

Technologia ta częściej myli się wobec osób czarnoskórych, azjatyckich i kobiet. BBW – niezależna organizacja Big Brother Watch (założona w 2009 r. w celu walki o ochronę prywatności i swobód obywatelskich oraz przeciwdziałania państwowej inwigilacji) szacuje, że 9 spośród 10 wskazań to błędne trafienia. Według raportu z 25 stycznia 2026 r., tylko w 2025 r. systemy LFR zeskanowały twarze ponad 7 mln osób, w tym 4 mln w Londynie. Co dziesiąty mieszkaniec kraju został zeskanowany bez zgody i wiedzy. Policja nie wyjaśnia, kto trafia na listę „podejrzanych", jak się z niej wypisać, ani nawet kto o tym decyduje.

W 2023 r. BBW ujawnił, że policja inwigilowała facebookowe grupy krytykujące lokalne przepisy, lockdowny czy instalację kamer. Niektóre wpisy uznano za ekstremistyczne. Administrator grupy został wezwany na rozmowę za udostępnienie petycji przeciwko LTN (system blokowania ulic w imię „ciszy i bezpieczeństwa" – przyp. red.).

Organizacje pozarządowe (NGO) ostrzegają przed efektem mrożącym: ludzie rezygnują z protestów w obawie, że zostaną oznaczeni jako podejrzani. Wystarczy trafienie algorytmu – bez przestępstwa, bez możliwości sprzeciwu. To nie tylko inwigilacja, ale skuteczna forma zastraszania w wydaniu cyfrowym.

A tam, gdzie naprawdę trzeba?

Skuteczność brytyjskiego nadzoru okazuje się podejrzanie wybiórcza. Kierowca w środku nocy został zaatakowany na czerwonym świetle. Ktoś próbował wyciągnąć go z auta. W panice, zamiast odjechać, zatrzymał się na skrzyżowaniu – na tzw. yellow box, gdzie nie wolno stać. Kamery były. Zarejestrowały niewyraźne kontury napastnika; odbicia, deszcz – poszkodowany nie był w stanie się rozpoznać. Ale druga, ta „od mandatów", uchwyciła numer rejestracyjny jego auta wyraźnie, ostro, bez cienia wątpliwości. Przestępcy nie ustalono. Ofiara dostała mandat.

To nie był wyjątek. To logika systemu, który nie chroni obywatela. Nie szuka sprawiedliwości, lecz statystyk. Nie rozwiązuje problemów, tylko wystawia rachunek.

Reforma czy centralizacja?

W styczniu 2026 r. minister spraw wewnętrznych Wielkiej Brytanii Shabana Mahmood ogłosiła największą od dwóch wieków reformę brytyjskiej policji. Oficjalny cel: unowocześnienie i ujednolicenie systemu. W praktyce – centralizacja, konsolidacja i podporządkowanie lokalnych służb władzom centralnym.

W ramach nowej strategii ma powstać National Police Service, odpowiednik amerykańskiego FBI, który przejmie ściganie terroryzmu, zorganizowanej przestępczości i oszustw. Ministerstwo zyska też nowe uprawnienia: będzie mogło odwoływać komendantów, narzucać standardy i egzekwować dyscyplinę. Dodatkowo każdy funkcjonariusz ma posiadać „licencję zawodową", a system ma intensyfikować wykorzystanie kamer, AI i narzędzi predykcyjnych. To już nie tylko inwigilacja. To budowa zunifikowanej struktury kontroli społecznej, której podstawową walutą jest ocena, reputacja, zgodność z algorytmem. I wszystko to oczywiście „w imię bezpieczeństwa".

Ostrzegają od lat

Organizacje broniące praw obywatelskich, jak Big Brother Watch, Liberty czy Privacy International, od lat alarmują, że Wielka Brytania dryfuje w stronę modelu państwa nadzorującego, gdzie wolność jednostki jest podmieniana na „zgodność z procedurą". Już wcześniej krytykowano użycie systemów rozpoznawania twarzy jako nieadekwatne, niedostatecznie regulowane prawnie i podatne na błędy, zwłaszcza wobec mniejszości etnicznych i osób ubogich.

Dyrektorka BBW, prawniczka Silkie Carlo powiedziała: „Policja nie ma prawa tworzyć sieci monitoringu twarzy. To godzi w nasze prawa i wartości". Liberty mówi o „pełzającej inwigilacji". Komisja ds. Etyki Technologicznej ostrzega, że wskazania „algorytmów" bez możliwości odwołania się od wyników zagrażają państwu prawa.

Nie rozumiesz? Jesteś głupi

Reakcja rządu? Retoryka „bezpieczeństwa" i mantry o „nowoczesnej policji zdolnej do działania w XXI wieku". Krytyka? Odsunięta jako „niezrozumienie zagrożeń współczesności". Zresztą, jak zawsze.

W 2024 r. niejaki Shaun Thompson został błędnie zidentyfikowany przez system rozpoznawania twarzy i zatrzymany przez policję. Sprawa trafiła do High Court (sądu najwyższego) jako przykład zagrożeń związanych ze stosowaniem LFR. W innym wypadku student został przesłuchany za grafikę krytykującą policję. Tak wygląda prewencyjna tresura – delikatna, ale skuteczna.

Firewall na własny użytek

Nie chcesz być śledzony? Nie chcesz, by twoja twarz trafiała do bazy? W teorii masz prawo do prywatności. W praktyce, jeśli spróbujesz ją zachować, system zacznie się interesować właśnie tobą.

Wychodzisz na ulicę w motocyklowym kasku z opuszczoną przyłbicą. Nie dlatego, że jesteś zamaskowanym bandytą, tylko dlatego, że nie chcesz być surowcem treningowym dla miejskich algorytmów. Nie wchodzisz do sklepów, nie łamiesz prawa, nie prowokujesz. A mimo to możesz trafić „na radar", bo system nie rozpoznaje twojej twarzy. A jeśli nie rozpoznaje, to znaczy, że coś jest nie tak. To, co z powodów religijnych lub kulturowych jest uznawane za wyraz tożsamości i podlega pełnej tolerancji, w innym kontekście może nagle zostać potraktowane jako „próba ukrycia tożsamości" lub „podejrzane zachowanie". W skrócie: nie chodzi o to czy zasłaniasz twarz, tylko dlaczego ją zasłaniasz.

Paradoks? Nie. Taka jest logika nadzoru: im bardziej chcesz być anonimowy, tym bardziej jesteś podejrzany. W świecie, w którym system widzi wszystko, najbardziej niepokoją go ci, których nie widzi.

Daniel Młynarski, Londyn

eprasa.pl 1a7ca6177b

Nr 8 (284) 20-26.02 2026 r. F!

Achilles goni sztuczną inteligencję



W ciągu najbliższych 5 lat na rynku pojawią się roboty o sztucznej inteligencji przekraczającej poziom ludzkiego intelektu – zapowiedział niedawno Elon Musk, ekstrawagancki miliarder i właściciel takich postindustrialnych gigantów jak SpaceX, Tesla oraz Neuralink.

Czyżby ziścić się miało marzenie utopistów i wizjonerów o maszynach, które zwielokrotnią moc oddziaływania człowieka na otaczający świat – ba, na przestrzeń kosmiczną? A może – o zgrozo! – majaczy już dystopijna makabreska buntu maszyn, które będą chciały sobie podporządkować ludzkość lub zgoła ją unicestwić? Wszak rewolta istot stworzonych przeciw twórcy to znamienny topos światowej mitologii, filozofii i literatury.

Odyseusz i kosmos

Niepodobna przy pytaniu o antyutopijny horror panowania inteligentnych maszyn nie przywołać wątku z kultowego filmu Stanleya Kubricka „Odyseja kosmiczna 2001" (film ten odzwierciedlał nietzscheański entuzjazm lat 60., kiedy wypatrywano rychłych – po pierwszych sowieckich i amerykańskich lotach w kosmos – wypraw na najbliższe planety i nawet inne układy solarne). Na pokładzie gigantycznego statku kosmicznego „Discovery" znajduje się omnipotentny komputer „Hal 9000", który steruje wszystkimi procesami i czynnościami technicznymi. A przy tym gawędzi, obdarzony przyjemnym, radiowym tembrem głosu, z członkami załogi, podziwia ich rysunki, rozkoszuje się włączoną muzyką. Zarazem jednak, kierując się jakimiś własnymi rachubami, aby przejąć kontrolę nad „Discovery", uśmierca załogę, z wyjątkiem kapitana statku. Który ostatecznie udaremnia dalsze machinacje sztucznej inteligencji.

Do rzeczy: czy można się spodziewać, że w ciągu najbliższych lat nasza planeta zaroi się od androidalnych maszyn i cyborgów, które zwielokrotnią możliwości działania i oddziaływania ludzkiego? Perspektywa ta brzmi optymistycznie, generuje jednak liczne ryzyka.

Namordniki i kańczugi

Ryzyko pierwszoplanowe wypływa z faktu, że na masowe wykorzystanie technologii postindustrialnych, zwłaszcza sztucznej inteligencji, pozwolić sobie mogą głównie silni i możni tego świata: władze potęg światowych i wielkie korporacje transnarodowe, możnowładcy i krezusi. Czynności uruchamiające i sterujące sztuczną inteligencję (ang. AI – *Artificial Intelligence*), za pośrednictwem klikania i kręcenia dżojstikiem, a zwłaszcza komend głosowych, raczej znajdą się poza możliwościami mas ludowych w krajach mniej zamożnych i zgoła ubogich. Zamiast porad i podpowiedzi ze strony sztucznej inteligencji, ostanie się im tylko zawierzać, jak i drzewiej, lokalnym autorytetom. W Afryce i na Karaibach – szamanom i czarnoksiężniczkom mambo, w Polsce – księżom dobrodziejom i aktywistom PiS.

Powyższa prawidłowość generuje kolejne ryzyko. Obdarzeni dzięki sztucznej inteligencji niebywałą możliwością monitoringu, przy pomocy AI, poszczególnych ludzi, grup i społeczeństw, przedstawiciele władzy oraz oligarchowie mogą zarzucić na ludność cyberinformatyczną sieć wglądu, kontroli i wymuszania posłuchu. Tego typu skłonności ujawniają się w krajach z wielowiekowymi tradycjami despotyzmu. W Chinach Ludowych – kraju, gdzie państwo oznacza „wielką rodzinę" – już od lat istnieje system stałego monitoringu całej ludności i oceniania na tej podstawie lojalności poszczególnych poddanych komunistycznego cesarza i jego mandarynatu. Przez ponad dwa tysiąclecia *Huangdi* (cesarz) uchodził za patriarchę chińskiej „wielkiej rodziny", w której moralny nakaz posłuszeństwa i tępienia odstępstwa, zgodnie z konfucjanizmem i zwłaszcza jego radykalną interpretacją przez legistów, stworzył „rodzinne", na skalę imperium, zsieciowanie wzajemnej inwigilacji i donoszenia do władz. Gwoli dygresji warto skonfrontować powyższe realia ze słowami greckiego polityka z V wieku p.n.e. Peryklesa, który w słynnej apologii demokracji ateńskiej mówił, że „my, Ateńczycy, nie wglądamy z podejrzliwą ciekawością w życie naszych sąsiadów, nie rzucamy im krzywych spojrzeń, jeśli żyją inaczej niż my".

Skądinąd osobliwe państwo jezuitów w Paragwaju w XVIII w., które współcześni badacze nierzadko przyrównują do wschodnich despocji, rozkrzewiło wśród poddańczej ludności indiańskiej nakaz wzajemnego szpiegowania się i delatorstwa. Aliści dzisiejsza niezamożność Paragwaju nie pozwala jego rządcom, w odróżnieniu od ChRL, na wskrzeszenie jezuickich tradycji przez polityczne penetracje społeczeństwa za pośrednictwem sztucznej inteligencji.

Reasumując, można powiedzieć, że państwa, uformowane w dziejach jako „wielkie rodziny", chętnie ulegają historycznemu instynktowi nadzoru i wglądu w poczynania tysięcy i milionów „domowników". Dla autorytarnych władz takich państw potencjał AI jako „namordnik" na ludność i kańczug na brykające społeczności to istny dar boży.

Dylematy kadr

W związku z tym zapytajmy się, czy w państwach demokratycznych, szczególnie z kręgu cywilizacji Zachodu, użycie sztucznej inteligencji może przeinaczyć fundamentalne wartości tej cywilizacji, uwieść pokusą wszechobecnej kontroli i zarządzania, a w efekcie udespotycznić państwo? Już od kilku dziesięcioleci system władzy w świecie zachodnim opiera się tyleż na tradycyjnych instytucjach demokracji, co i na rosnącym znaczeniu merytokratów*, profesjonalnej kadry zarządczo-administracyjnej.

W razie dojścia w krajach Zachodu do władzy natywistycznego populizmu, który wymachuje maczugą prawd prostych, „siermiężnych", czyli stereotypowych, merytokracja poczuje się bezpośrednio zagrożona. Nieobliczalne zachowania populistów u steru naw państwowych (ilustruje to poniekąd przypadek Trumpa) może spowodować, iż sekowana i odprawiana z kwitkiem merytokracja pocznie rozważać wariant ukrócenia tego bezładu, sabotując rozhukanych populistów u władzy, również z wykorzystaniem zdolności sztucznej inteligencji. A wtedy wyłania się pytanie, na ile obstrukcja i sabotaż ze strony merytokracji wobec władzy „ludowej", wywindowanej na piedestał głosami populistycznego prostactwa, odpowiada zasadom demokracji? Zwłaszcza gdy się zważy, że demokratyczny wybór ludu uderza w fundamentalne cnoty demokracji: obywatelską odpowiedzialność, racjonalizm i umiar, zmysł krytyczny i samokrytyczny.

Bylejakość i „dojutrkowanie"

Co zaś to wszystko oznacza dla Polski? Ano rozbrzmiewa alarmistycznymi dzwonkami, że logika rozwoju doganiającego, opartego zasadniczo na dostarczaniu półfabrykatów i podzespołów (o charakterze głównie industrialnym i rzadko postindustrialnym), nie mówiąc już o surowcach rolnych i mineralnych, do zachodnich producentów nadal sytuuje Polskę ledwie w środku globalnego łańcucha towarowego. Polska prowincja z nieufnością i oporami przysposabia się do sztucznej inteligencji. Atoli pieje hosanny na chwałę PiS, które skądinąd z pasją wykorzystywało Pegasusa, tj. oprogramowanie szpiegujące z kategorii AI, aby oprymować politycznych przeciwników.

Przez swe dziejowe uwikłania socjoekonomiczne dzisiejsza Polska oraz jej struktura społeczna i gospodarcza uwikłane są w przednowoczesność, która zewsząd zalega złogami agraryzmu i postaw tradycjonalistycznych. I uzależnia kraj od zewnętrznego wsadu wysokich technologii, wskutek niedowładu polskiej kreatywności i innowacyjności, dźwigającej chomąto tradycjonalizmu: bylejakości, „dojutrkowania", „życia po naszemu". A na szlaku rozwoju doganiającego już czai się pułapka średniego dochodu. Co grozi, że polska dynamika rozwojowa, choćby była Achillesem, nie dogoni żółwia. I wcale nie wynika to z pokrętności paradoksu Zenona z Elei, lecz z nieparadoksalnego faktu, że postindustrialne technologie, w tym sztuczna inteligencja, są znacznie bardziej chyże niż żółw.

Jarosław Bratkiewicz

* merytokracja – system, w którym pozycja społeczna uzależniona jest od kompetencji

eprasa.pl 1a7ca6177b

Krzyk kobiet



Praca na rzecz równości i podmiotowości kobiet nie tylko się nie skończyła, ale rozpoczyna na nowo.



Wykonują polecenia”, „skompromitowana księżna”, „nikt już nie chce z nią rozmawiać”. Do mediów jakoś tak „wyciekł” adres domowy oraz notatki z intymnych przesłuchań aktorki Anouski De Georgiou. Była miss Szwecji Eva Andersson-Dubin atakowana jest w mediach i podważa się jej kwalifikacje zawodowe jako lekarki. Kathy Ruemmler, była doradczyni prawna Białego Domu, niszczona jest jako nieetyczna i nieprofesjonalna. Była modelka Alesia Riabenkova też nie może spać spokojnie, ponieważ trwa analiza jej poczty e-mailowej, a ona sama traktowana jest jako oskarżona. Virginia Giuffre popełniła samobójstwo. Co łączy te kobiety? Miały to nieszczęście, że stanęły na drodze przestępcy, seksualnego drapieżcy, pedofila, mizogina i gwałciciela Jeffreya Epsteina. Podczas gdy nazwiska mężczyzn gwałcących i wykorzystujących kobiety są starannie chronione, personalia kobiet raz po raz „wyciekają”. Nic ich nie chroni, bo to tylko kobiety.

Bogowie mizogini

To zjawisko ukazuje bardzo smutny fakt: mizoginia nie wyparowała, pogarda wobec kobiet, traktowanie ich jak towar nadal zapisane jest w świadomości społecznej. Wieloepokowa tradycja uprzedmiotawiania kobiet, sprowadzania ich do funkcji podwładnych odcisnęła swoje piętno. W kulturowym DNA pogarda wobec kobiet jest nadal przyczajona i wypływa za każdym razem, gdy pojawia się okazja.

Nie bez znaczenia jest również, że bóg trzech najpopularniejszych religii nie przepada za kobietami. Ani Jahwe, ani Allah, ani Bóg-ojciec nie są feministami. Przeciwnie, ci trzej, stanowiąc wytwór mizoginistycznych, plemiennych praktyk, traktują kobiety jako całkowicie podwładne i niewolniczo związane z mężczyzną. W katolicyzmie, islamie i judaizmie wiele przykazań, zasad życia, czy boskich wyroków skierowanych jest przeciwko kobietom. Kobieta ma być posłuszna, cicha, skromna, słuchać męża, a jej jedyna realizacja to macierzyństwo i poddaństwo wobec rodziny. To mężczyzna jest prawdziwym dzieckiem boga, tylko on rozumie boskie przykazania.

Kultura przemocy

Sprawa Epsteina uświadamia nam, jak bardzo kobieta się nie liczy, jak mało ma praw, jak bardzo przedmiotowo jest traktowana. Nim jednak z niedowierzaniem przeczytamy kolejne nazwiska, nim hejterzy rzucą się na kolejne „laleczki”, „durne laski”, które „wybrały karierę przez seks”, lub „chciały, a teraz krzyczą o gwałcie bo się wstydzą”, trzeba uświadomić sobie coś jeszcze.

W lutym 2026 r. w Kongresie USA zaprezentowano projekt „Virginia’s Law”, mający znieść przedawnienie ścigania przestępstwa handlu ludźmi. W polskim kodeksie karnym gwałt ulega przedawnieniu po 20 latach; w przypadku szczególnego okrucieństwa, śmierci, po 30 latach. Przestępstwa na dzieciach ulegają przedawnieniu, gdy osoba zgwałcona kończy 40 lat. Międzynarodowy Trybunał Karny pociąga do odpowiedzialności gwałcicieli jedynie, jeśli jest to gwałt wojenny. A i to zostało zagwarantowane dopiero w 1998 roku.

Nie tylko w zachodniej kulturze kobieta nadal postrzegana jest przez pryzmat mizoginicznych praktyk, co widać właśnie w podejściu do gwałtu. „Wyspa Lolitek”, jaką stworzył Epstein, to, że tak wielu mężczyzn korzystało z jego „usług” świadczy, że kobieta w kulturze zachodniej ciągle jest rzeczą. Dlatego nie wolno przerwać walki o naszą podmiotowość!

Wszyscy hejtujący uczestniczą w przemocy. Piętnując kobiety, które zostały skrzywdzone, ośmieszając je tylko dlatego, że jakiś zboczeniec budujący swoje ego przez przemoc pisał o nich – stajemy się mizoginami. Nienawiść, jaka dotyka osoby skrzywdzone staje się świadectwem naszej antykobiecej wrażliwości. Dlatego sprawa Epsteina ujawnia, ile jeszcze mamy do przepracowania. Kulturowe wzorce, zwłaszcza gdy mają wsparcie w religijnej narracji, są szczególnie niebezpieczne. Przyzwyczajenie do uprzedmiotowienia i wykorzystywania, budowania własnej siły i tożsamości na osobach uznanych za słabsze to motyw również religijnej opresji.

Nasza kultura, o ile nie ma stoczyć się w bezprawie, raz jeszcze musi podjąć pracę na rzecz ochrony i wzmocnienia tych osób, które narażone są na przemoc.

prof. Joanna Hańderek

Kościelna ekspertyza

Ksiądz Adrian Bombelek, proboszcz parafii św. Mikołaja w Raciborzu, zaplanował wielką wycinkę drzew na cmentarzu przy ul. Głubczyckiej. Zlecił ekspertyzę i bez problemu uzyskał zgodę urzędu miasta ze względu na potencjalne zagrożenie. Lokalni społecznicy wykonali swoje badania i okazało się, że drzewa są w najlepszej kondycji.

Sprawa budzi duże emocje od jesieni 2024 r., kiedy na kilkunastu cmentarnych lipach pojawiły się „krzyżyki”, oznaczające planowaną wycinkę. Miejscowi działacze społeczni i wielu parafian od początku nie dawali wiary w zapewnienia parafii o chorobie drzew, a co za tym idzie, zagrożeniu dla nagrobków i życia odwiedzających nekropolię. Mimo protestów ratusz wydał zgodę na wycinkę drzew. Nie powiadomił o tym strony protestującej. Podpierał się ekspertyzą dendrologiczną dostarczoną do urzędu przez księdza Bombelka. Stwierdzono w niej m.in. „osłabienie witalności drzew” w najwyższym, trzecim, stopniu.

Z piłą na zdrowe drzewa

– Urząd Miasta, wydając zgodę na wycinkę, opierał się nie tylko na opinii dendrologicznej z firmy Arbolab. Pracownik organu dokonał oceny drzew oraz ich cech diagnostycznych „zgodnie ze standardami inspekcji i diagnostyki drzew oraz wiedzy zdobytej podczas studiów i wielu ukończonych specjalistycznych kursów i szkoleń (m.in. certyfikowanego inspektora drzew). Do oceny wizualnej drzew wykorzystano młotek diagnostyczny i sondę arborystyczną – informuje „FpM” Joanna Janik, kierownik biura prezydenta miasta Raciborza.

Sprawa trafiła do wojewódzkiego konserwatora zabytków. Mieszkańcy zaapelowali do niego o objęcie ochroną konserwatorską cmentarza wraz z drzewami i wstrzymanie wycinki. Jednak przed kilkoma dniami pięć okazałych lip zostało ściętych. W planach była wycinka 46 drzew.

– Te drzewa były w świetnej kondycji. Ponad rok walczyliśmy, żeby ich nie wycinać. Nasze wątpliwości dotyczące zasadności wycinki podzielił również specjalista dendrolog doktor Wojciech Zarzycki, który podkreślał, że należy podjąć wszelkie możliwe działania, aby je zachować, zwłaszcza że pełnią nie tylko funkcję estetyczną, ale również historyczną i przyrodniczą. Według eksperta, żadne z drzew absolutnie nie kwalifikuje się do wycinki – mówi „FpM” ekolog Bogusław Siwak, który udał się do UM z prośbą o wyjaśnienia.

Opinia eksperta

„Decyzję o wycince podjęto na podstawie ekspertyzy wykonanej przez firmę Arbolab. Podczas wglądu do dokumentacji stwierdzono liczne nieścisłości i nieprawidłowości. (…) Przeprowadzone badania wskazują, że brak jest podstaw do wycinki analizowanych drzew. W wypadku drzew, które już ścięto nie sposób orzec to ponad wszelką wątpliwość, jednak ich pozostałości nie noszą jednoznacznych znamion cech wymagających tak radykalnych działań” – czytamy w opinii dr. Wojciecha Zarzyckiego.

Według dendrologa, dwa wycięte drzewa nie miały nawet śladów świadczących o tym, by stwarzały jakiekolwiek zagrożenie.



Kompromis, którego nie ma

Po tym jak raciborski ratusz zaczęły zalewać pytania dziennikarzy, ogłoszono „kompromis”, który ma polegać na wycięciu 11, a nie 46 drzew. „W zamian zostanie posadzonych 12 drzew (brzoza brodawkowata lub jarząb pospolity). Zostaną one posadzone przy ul. Kościelnej w Raciborzu (tzn. przy kościele – red.)” – informuje kierowniczka biura prezydenta miasta.

– Na spotkaniu w urzędzie miasta zwróciłem się do prezydenta o uchylenie zgody na wycinkę tych 11 drzew. Księdzu przekazałem ekspertyzę dr. Zarzyckiego i poprosiłem o rezygnację z kontynuowania wycinania drzew – podsumowuje pan Bogusław.

„Ksiądz zasłania się zamiennymi nasadzeniami. Śmiechu warte. Za jedno prawie stuletnie drzewo należy posadzić od kilkunastu do kilkudziesięciu młodych drzew, a i to nie zrekompensuje strat poczynionych w przyrodzie”; „Nie, no szkoda słów, ale widać jaka banda rządzi tym miastem”; „Zbrodniarze”; „Drzewa to płuca miasta, wycinanie ich to zbrodnia, ksiądz proboszcz nie zna 10 przykazań? Nie zabijaj” – komentują mieszkańcy Raciborza w mediach społecznościowych.

Katarzyna Wilk-Wojtczak

eprasa.pl 1a7ca6177b

Nr 8 (284) 20-26.02 2026 r. F!

Front bez linii frontu



Cztery lata temu, 24 lutego 2022 r., Władimir Putin ogłosił rozpoczęcie „specjalnej operacji wojskowej” (SWO) przeciwko Ukrainie. Trwa ona dłużej niż trwała Wielka Wojna Ojczyźniana, ujawniając wrodzony fałsz i podłość tej inwazji.

Putin wciąż nie rozumie, że rozpoczynając wojnę ze swoimi słowiańskimi sąsiadami, już przegrał. Przegrał ją 24 lutego 2022 r. Tylko nie może i nie chce w to uwierzyć.

Bumerang Putina

Ta data nie jest kamieniem milowym, ale zobowiązuje nas do podsumowania; spojrzenia wstecz i w przyszłość. Co więcej, rocznica rozpoczęcia „operacji specjalnej” (choć termin ten, cztery lata od rozpoczęcia wojny, może brzmieć ironicznie) zbiega się z inną datą. Również nie okrągłą, lecz brzemienną w skutki. Dziewiętnaście lat temu (10 lutego 2007 r.), występując na Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa, Putin wygłosił przemówienie, które zarówno zachodni, jak i prokremlowscy politolodzy uznali za „najbardziej agresywne od czasów zimnej wojny”. Niektórzy nazwali je wręcz graniczącym z paranoją. W Monachium Putin ogłosił imperialne ambicje Rosji. To był ostatni raz, kiedy rosyjski prezydent był całkowicie szczery. Myśl o wojnie z ukraińskim sąsiadem już kiełkowała w jego głowie.

Zachód nie uwierzył Putinowi. Zrzucił to na karb kampanijnej retoryki rosyjskiego prezydenta. Zachodni przywódcy w myślach kręcili palcami przy skroniach, mrugali do siebie i kontynuowali to, co robili. Dopiero później świat dowiedział się, że Silvio Berlusconi, Nicolas Sarkozy, Gerhard Schröder, a nawet Angela Merkel, pomimo niewinnego, anielskiego wyglądu, byli mocno osadzeni w strukturach rosyjskich gigantów naftowych i gazowych. Ale oni o tym wiedzieli, zaś Putin wiedział, że ich kupił, więc bez wahania wyraził swoje zdanie. „Kupił sobie prawdę niesprawiedliwością czasów”, jak przed laty napisał Boris Pasternak o innym dyktatorze.

19 lat po Monachium Putin narzeka, że został „oszukany”. Ten macho czuje się jak rogacz, zdradzony mąż, którego niewdzięczna żona zostawiła zabierając ze sobą wszystko, co jej dał. „Zostaliśmy oszukani, okrutnie oszukani. Jak to się tu mówi, porzucili nas” – skarży się zniewieściałemu korespondentowi w filmie „Rosja. Kreml. Putin 25 lat”, wyemitowanym w centralnym kanale „Rossija”.

Pozwolę sobie wyjaśnić. Ludzie nie mówią „porzucili nas”. Tak mówi się w kręgach przestępczych. To więzienny slang, a nie potoczny język, ale Putin arogancko uzurpował sobie prawo do mówienia w imieniu ludu. On był przekonany, że może powalić Kijów na kolana w ciągu tygodnia. Najwyżej dwóch, trzech tygodni. Ale cztery lata później wojna dotarła do Rosji. To nie metafora. Dziesiątki wiosek w graniczącym z Ukrainą obwodzie kurskim zostały zdewastowane i zniszczone przez odwetowy atak. Tysiące mieszkańców Kurska uciekło z domu. Dziesiątki tysięcy mieszkańców Biełgorodu żyło bez ogrzewania, wody i prądu przez cały grudzień i styczeń. Bumerang z Kijowa, Charkowa i Dniepru… Biełgorod został oślepiony i zamrożony przez *blackout*. Każdego dnia w całej Rosji płoną rafinerie ropy naftowej, elektrociepłownie i zakłady zbrojeniowe. Zgodnie z prawami historii, wojna zawsze wraca na terytorium agresora. Putin bombarduje Ukrainę, niszcząc Rosję. Dlatego atakuje swoich.

Patriotyzm na sprzedaż

Prokremlowska propaganda robi wszystko co w jej mocy, aby wmówić społeczeństwu, że ta wojna jest święta, że jest „narodowa”. Że to kontynuacja Wielkiej Wojny Ojczyźnianej przeciwko „nazistowskiemu Zachodowi” i NATO. W oczach przeciętnego człowieka upraszcza to obraz, czyniąc go czarno-białym.

Propaganda wykorzystuje wątek militarny w zależności od sytuacji. Nie mówi się już o „denazyfikacji i demilitaryzacji” Ukrainy, jak ogłoszono cztery lata wcześniej. Ukraina musi zostać zmieciona z powierzchni ziemi. Tego właśnie domagają się szowinistyczni „Z-patrioci”. Putin, niczym gniazdo os, pobudził siły pozostające poza jego kontrolą i stał się zakładnikiem sytuacji. Ale społeczeństwo nie wierzy już w sakralność, świętość „operacji specjalnej”. To wojna komercyjna. Chodzi o pieniądze, a nie o świętość. Niedawny przykład: Biełgorod od miesiąca tkwi w ciemnościach i zimnie. Jak wielonarodowa Rosja, „związana świętymi więzami braterstwa”, „stworzona przez nierozerwalne więzy wzajemnej pomocy”, „monolityczna w jedności i patriotycznym żarze”, zareagowała na prawdziwe nieszczęście swoich rodaków? Nijak! Nikogo to nie obchodzi. To wasze problemy, mieszkańcy Biełgorodu. „Mam bilety do teatru” – mówi Moskwianin. „A ja krowę muszę wydoić” – grzechocze bańką na mleko gospodyni z wioski nad Wołgą. „ Czas na ryby!” – stuka kostką domina o blat stołu robotnik z Zauralu.

Społeczeństwo rosyjskie nie było przygotowane na głęboką inwazję wojsk ukraińskich na Kursk w sierpniu 2024 r. Ani na ataki na rafinerie ropy naftowej; ani na zabójstwa wysokich rangą generałów w bramach swoich domów; ani na „Hołodomor” w Biełgorodzie. Przede wszystkim zaś nie było przygotowane mentalnie. Putin nie przypuszczał, że wojna zawita do jego domu. A naród mu wierzył.

Strzelamy w Ukrainie? To normalne. To nasza ziemia. Mamy do tego prawo. Przywracamy tam porządek. Ale kiedy Ukraina strzela w nas, to jest terroryzm. Ci łajdacy „banderowcy” zabijają Rosjan. Nie najechaliśmy naszych sąsiadów. Przyszliśmy odebrać to, co nasze. Przecież granice Rosji nigdzie się nie kończą, mówi Putin. Za jego namową terytorium Rosji straciło swoją definicję i stało się abstrakcją. To logika społeczeństwa, które po czterech latach bezsensownej rzezi w końcu zaczęło dostrzegać światło.

Dla wielu w Rosji było oburzające, że Ukraina odważyła się odpowiedzieć ogniem na ogień. Jak oni śmią?! Bezczelność! Lew Tołstoj nazwał taką wściekłość „ukrytym ciepłem patriotyzmu”.

Lekcje historii

Stanisław Jerzy Lec powiedział, że „tylko gramatyka może być pewna czasu przyszłego”. Putin nie czytał Leca. Pewnie nawet nie wie o jego istnieniu. Teraz jest jasne, że rozpoczynając wojnę z Ukrainą, Putin stawiał na Zachód. Był przekonany, że przekupionemu Zachodowi brakuje determinacji, woli politycznej i prawdopodobnie chęci do ratowania Ukrainy.

„Rozbity, nieskuteczny, z długą historią porażek w Afganistanie, Iraku, Libii i Syrii, Zachód, zdaniem Putina przeżywał swój zmierzch. Zwycięstwo Rosji miało oznaczać koniec złotej ery Zachodu i otworzyć drogę do sojuszu z Chinami i innymi wschodzącymi potęgami, pozwalając Moskwie na ponowne zaznaczenie swojej pozycji na arenie międzynarodowej” – pisze historyk Michael Kimmage w swoim felietonie dla „The New York Times”.

Garri Kasparow, trzynastokrotny mistrz świata w szachach, politolog i aktywny polityk opozycji, uznany w Rosji za „zagranicznego agenta”, dolał oliwy do ognia. Zadał europejskim przywódcom prowokacyjne pytanie: „Na Łotwie stacjonuje kanadyjska brygada sił zbrojnych. Załóżmy, że Łotwa zostanie zaatakowana. Co zrobicie?”. I sam odpowiedział: „Panowie, będziecie obradować”.

Europa obradowała trzy lata. Nadal obraduje, ale wygląda na to, że są już rezultaty. Europę można zrozumieć. Co innego wieszać ukraińskie flagi w swoich miastach, a co innego wysyłać swoich synów na wojnę w cudzym kraju. Historyczne analogie są oczywiste. Ukraina to Czechosłowacja w 1938 r. Świat jest gotowy oddać Ukrainę, aby uniknąć wojny, tak jak był gotowy oddać Czechosłowację w 1938 r. w tym samym szlachetnym celu. Pisarz, dramaturg i oczywiście „zagraniczny agent” Wiktor Szenderowicz przeprowadza historyczną paralelę. I zadaje pytanie: „Czy można było obronić się przed Hitlerem oddając, a w zasadzie zdradzając, Czechosłowację?”. Historyczna odpowiedź na to pytanie została już dawno udzielona. „Nie. Nie można”. Kanibal wyciągnął wniosek. „Zginęły dziesiątki milionów ludzi na całym świecie”.

Historia mści się za niewykorzystane lekcje.

Anton Arbatow, Moskwa

przekład Marta Hofman

eprasa.pl 1a7ca6177b

Scenariusz impotencji



Październik 2026 r. rosyjskie wojska zajmują Mariampol, 35-tysięczne litewskie miasto i kluczowy węzeł drogowy; przejmują kontrolę nad Przesmykiem Suwalskim. Pod pretekstem pomocy humanitarnej dla obwodu kaliningradzkiego. Odnoszą sukces w ciągu kilku dni. Używają do tego zaledwie jednej brygady – 15 tys. żołnierzy.

Trump odmawia aktywizacji artykułu 5 NATO. Niemcy wahają się, lecz nie robią nic. Brygada niemiecka rozmieszczona na Litwie nie opuszcza bazy – rosyjskie drony zaminowały drogę do niej. Polska aktywizuje siły zbrojne, lecz nie wysyła wojsk z odsieczą Litwinom.

To scenariusz symultany wojennej, odegranej w grudniu w Niemieckim Centrum Gier Wojennych Uniwersytetu Bundeswehry w Hamburgu, przy współudziale dziennika „Die Welt". Jej przebieg ujawniono na początku lutego. Sprawę podchwyciły nieliczne media w USA, m.in. konserwatywny „The Wall Street Journal". W roli *dramatis personae* gry wystąpiło 16 byłych notabli NATO, parlamentarzystów i ekspertów.

W Mariampolu autostrada Via Baltica – wiodąca z Talina do Warszawy, tuż przy granicy obwodu kaliningradzkiego – przecina się z tranzytową drogą z Białorusi do Kaliningradu, którą Litwini, na mocy umowy, muszą udostępniać rosyjskim ciężarówkom. Na tydzień przed inwazją była pełna nieoznakowanych rosyjskich pojazdów, zmechanizowanej wersji „zielonych ludzików". Tak się zaczęło i szybko skończyło. Wiarygodność NATO została unicestwiona. Na szczęście, tylko w symultanie. Na razie.

„Odstraszanie nie zależy tylko od możliwości militarnych, lecz także od tego, co nieprzyjaciel myśli o woli walki swego przeciwnika. W grze wojennej moi rosyjscy koledzy i ja wiedzieliśmy, że Niemcy będą się wahać. I to wystarczyło do wygranej" – komentuje austriacki analityk militarny Franz-Stefan Gady, który wcielił się w rosyjskiego szefa sztabu Gierasimowa. „W grze Rosjanie osiągnęli większość celów bez angażowania znaczniejszych sił – mówi Bartłomiej Kot, polski ekspert z fundacji im. Kazimierza Pułaskiego, który odtwarzał rolę Tuska. – Symultana pokazała, że gdy zostaliśmy skonfrontowani z eskalującą agresją rosyjską, zareagowaliśmy głęboko zakorzenionym przeświadczeniem, że to nasza strona musi dążyć do deeskalacji". Alexander Gabuev, dyrektor berlińskiego Carnegie Russia Eurasia Center, podkreśla, że kluczowe dla rosyjskiego sukcesu było posłużenie się zasłoną dymną „interwencji humanitarnej".

Gry wojenne

Portal LRT litewskiego radia i telewizji przypomina, że podobny „scenariusz impotencji" NATO przedstawiła już w 2016 r. w filmie dokumentalnym BBC. Mowa w nim była o rosyjskim ataku na Łotwę przy użyciu regularnych jednostek, sił specjalnych i rosyjskich separatystów. Pakt Północnoatlantycki zareagował podobnie jak na aneksję przez Rosję Krymu i części Donbasu. Artykuł 5 nie został zastosowany. Władze łotewskie odniosły się krytycznie do konstatacji, że odstraszanie nie zadziałało, a one same okazały się bezsilne. Wkrótce po filmie BBC prestiżowy think tank amerykański RAND Corporation przedstawił własną diagnozę: Rosja jest w stanie pokonać opór państw bałtyckich w ciągu zaledwie kilku dni.

Litwini wystąpili z krytyką najnowszej symultany. „W rzeczywistości Litwa i jej alianci otrzymaliby wystarczające ostrzeżenia wywiadowcze, by się przygotować i do ataku nie dopuścić – zapewnia kontradmirał Giedrius Premeneckas, szef sztabu litewskiego. – Nawet bez uruchamiania wsparcia Paktu Litwa dysponuje dostatecznymi siłami do odparcia ataku: 17 tys. w okresie pokoju i 58 tys. po mobilizacji". Kontradmirał podkreśla, że Rosjanie poważnie rozważaliby dylemat, czy zaatakować Litwę, gdyby NATO ostrzegło: jeśli się do tego posuniecie, pożegnajcie się z obwodem kaliningradzkim. Doradca ds. bezpieczeństwa narodowego Litwy Deividas Matulionis twierdzi: „Nie powinno się nie doceniać naszych wojsk. Będą walczyć nawet bez wzmocnienia jednostkami NATO". Płk Gintaras Bagdonas, były dyrektor wywiadu w europejskim sztabie militarnym, dyskredytuje wymowę symultany przeprowadzonej przez Niemców: „To nonsens. Nie wiem, jakie były cele tej gry, ale jej aspekt polityczny został przesadnie wyeksponowany. Może intencją było uświadomienie rosyjskiego zagrożenia społeczeństwu niemieckiemu oraz mieszkańcom innych krajów europejskich. Starali się wykreować okoliczności maksymalnie dla nas niekorzystne".

Stratedzy europejscy byli wcześniej zdania, że Rosjanie nie będą mieli zdolności bojowych do ataku na kraj NATO do 2029 r. Gen. Christian Freuding, dowódca niemieckich sił lądowych, powtarzał to jeszcze podczas lutowej wizyty na Litwie. Zapewniał jednocześnie: „Niemcy i sojusznicy są gotowi do walki nawet dziś wieczorem, jeśli będzie trzeba". Ostatnio jednak coraz więcej ekspertów i strategów militarnych przychyla się do poglądu, że atak rosyjski może nastąpić znacznie wcześniej niż po 2029 r. Krytycy tego stanowiska argumentują: Rosji przez 4 lata wojny udało się zająć 20 proc. terytorium Ukrainy, utraciła ponad milion żołnierzy; na 35 tys. nowych, wysyłanych co miesiąc w bój, traci 30 tys. „Putin poniósł porażki niemal we wszystkim, co usiłował zrobić" – podkreśla prezydent Finlandii Alexander Stubb.

Nowa narodowa strategia obronna USA minimalizuje zagrożenie rosyjskie. „Rosja pozostanie permanentnym zagrożeniem dla wschodniej flanki NATO. Ale zagrożeniem, które można kontrolować. Rosja nie jest w stanie zagrozić europejskiej hegemonii, ponieważ w porównaniu do Europy Rosja jest karłem, jeśli chodzi o rozmiary gospodarki, populację, a wkrótce i potencjał militarny". Zachodni zwolennicy ustępstw i porozumienia z Rosją usiłują argumentować, że Putin i Ławrow zapewniają, iż nie planują atakować Europy. Ten argument łatwo zbić przypomnieniem, że 4 lata temu Rosja twierdziła, że nie zamierza napaść na Ukrainę.

Inwazja tu i teraz?

Z każdym miesiącem przybywa kompetentnych głosów, że nie wolno czekać z przygotowaniami do obrony. „Putin jest oportunistą – przekonuje Nico Lange, były szef sztabu ministerstwa obrony Niemiec. – Jeśli celem jest podzielenie Europejczyków, udowodnienie, że artykuł 5 karty NATO nie funkcjonuje, dlaczego mieliby czekać, aż będziemy gotowi, aż będziemy silniejsi? Potrzebne jest wykazanie woli walki, a nie nadzwyczajnych zdolności bojowych". Minister obrony Holandii Ruben Brekelmans powiedział niedawno w wywiadzie: „Szacujemy, że Rosja będzie w stanie przerzucić duże siły wojskowe w ciągu jednego roku. Widzimy, że oni umacniają swój potencjał strategiczny, przemieszczają go wzdłuż granic NATO".

Planiści militarni Paktu obawiają się, że Rosja ma plany inwazyjne, które dotyczą północnych rubieży Szwecji i Finlandii oraz bałtyckich wysp należących do Danii. Także części Polski. Potencjalny atak rosyjski może mieć na celu europejską infrastrukturę daleko na zachodzie kontynentu, aż po port Rotterdam. Kontradmirał Premeneckas uwypukla inny aspekt zagadnienia: „Jesteśmy bardzo wdzięczni Ukraińcom, że każdego dnia, przelewając krew, dają nam czas lepiej się przygotować. Gdyby Ukraina przystała na pochopne zawieszenie broni, rosyjska machina wojenna nabrałaby rozpędu".

Niektórzy analitycy ostrzegają, że Rosjanie mają możliwości szybkiego przerzucenia 200 tys. zaprawionych w walce żołnierzy, którzy teraz są zaangażowani w operacje ofensywne na froncie ukraińskim. 200 tys. to więcej, niż początkowo uderzyło na ten kraj. Ppłk Amund Osflaten, wykładowca na norweskim Defense University College sądzi, że Rosja nie będzie próbować wojny na wyczerpanie, jaką prowadzi w Ukrainie, bo wie, że Europa ją prześcignie pod względem potencjału militarnego. „Ale to Rosjan nie odstrasza" – stwierdza Osflaten. Uważa, że jeśli spróbują coś zrobić, to raczej wcześniej niż później, gdy proporcje sił będą dla nich bardziej niekorzystne. Dodajmy: i gdy u władzy w USA jest wciąż putinofil Trump.

Europejscy przywódcy usiłują przetrawić nieoczekiwany jeszcze kilka lat temu fakt, że Trump i jego ekipa otwarcie popierają narrację Putina. Premier Litwy Inga Ruginiene rozważała ostatnio obronę kraju bez pomocy ze strony USA, w sytuacji niewywiązania się NATO ze zobowiązań sojuszniczych.

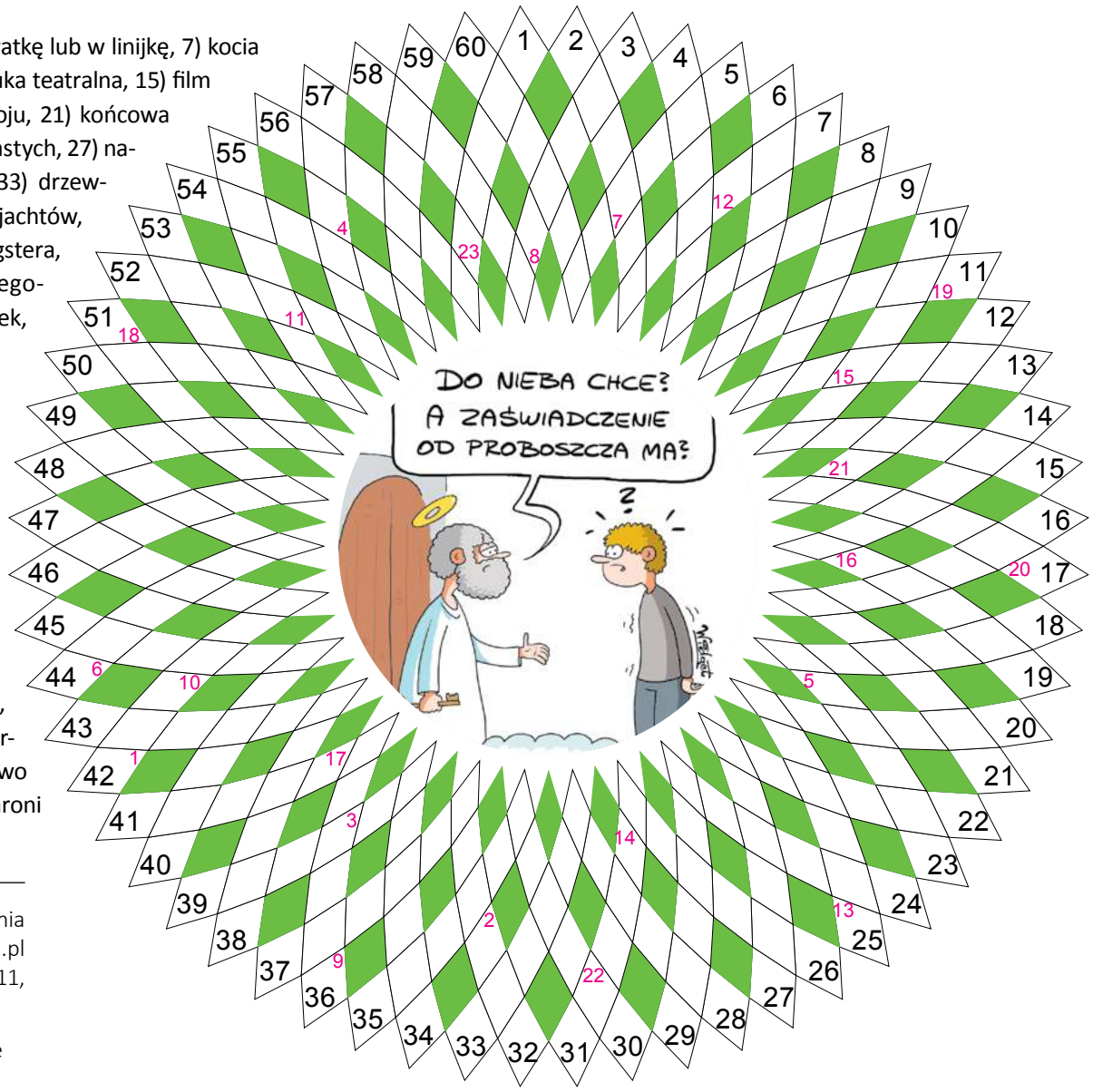
Należy mieć nadzieję, że w Polsce (*vide*: 1939) również odbywają się tajne debaty rozważające taką ewentualność.

Janusz Zawodny, Tampa (Floryda)

eprasa.pl 1a7ca6177b

Lewoskrętnie:
1) chętka, 3) pędnik jachtów wykorzystujących siłę wiatru, 5) w kratkę lub w linijkę, 7) kocia zabawka z włóczki, 9) niedokrwistość, 11) schorzenie oka, 13) sztuka teatralna, 15) film o wilkołakach, 17) kumpel Muchomorka, 19) dawna nazwa naboju, 21) końcowa część powieści, 23) zwrot jachtu, 25) wydzielina komórek roślin iglastych, 27) napój bogów, 29) budynek z eksponatami, 31) tropikalny urwis, 33) drzewko na choinkę, 35) intymna relacja pozamałżeńska, 37) wyścigi jachtów, 39) chroni kliszę, 41) niszczenie skorupy ziemskiej, 43) gnat gangstera, 45) krętacz, 47) węgierka w kompocie, 49) dziecię krasuli, 51) egocentryzm, 53) najniższy stopień podoficerski, 55) skórzany sznurek, 57) chłopiec na posyłki w hotelu, 59) zabawa z okazji ślubu.

Prawoskrętne
2) na końcu wędki, 4) państwo ze stolicą w Belgradzie, 6) rurka do picia, 8) jedyny istniejący egzemplarz dzieła, 10) skała na pomniki, 12) religijny wieszcz, 14) najwyższy głos w chórze, 16) produkt z mleka chudego, 18) zawodowo handluje na giełdzie, 20) idziesz do niej z receptą, 22) jest trzymany w ryzach, 24) dziesiętny lub binarny, 26) odwrotna strona monety, 28) kurzy dom, 30) dzienniczek studenta, 32) cięte w wazonie, 34) szufla, 36) historia powstania, 38) używana w szpitalu do oddawania moczu, 40) porcja chleba, 42) budynek wzniesiony między domami, 44) spóźniony na kolację w gniazdku na akacji, 46) konkurencja narciarska, 48) deser z soków, cukru i mąki ziemniaczanej, 50) warzywo na mizerię, 52) serwuje Krwawą Mary, 54) opłata za naukę, 56) chroni wynalazek, 58) zawór w dętce, 60) bieg na krótkim dystansie.



Rozwiązania krzyżówki prosimy nadsyłać w terminie 7 dni od ukazania się aktualnego numeru „FpM" na adres: krzyzowka@faktypomitach.pl lub pocztą pod adresem redakcji: „Fakty po Mitach", ul. Łąkowa 11, 90-562 Łódź (biurowiec Tower Building).

Przesyłając rozwiązanie krzyżówki wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez administratora w celu przeprowadzenia konkursu/krzyżówki, w tym publikacji w „FpM" imienia, nazwiska i miejscowości zwycięzcy. Regulamin na stronie www.faktypomitach.pl

Rozwiązanie krzyżówki z numeru 6/2026: „MA SMAŻALNIĘ RYB W KOŁOBRZEGU".
Nagrody otrzymują: Maria Winnicka z Jasienia, Marek Szczepański z Gdyni, Zenon Lewiński z Dęblina.

–	1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14

15	16	17	18	19	20	21	22	23	.

Klęczy facet przy grobie i krzyczy:
– Dlaczego umarłeś!? Dlaczego mi to zrobiłeś?!
Podchodzi do niego drugi i pyta:
– Panie, kogo pan tak żałujesz, ojca, syna?

Pomoc duszpasterska

Skazany za przestępstwa seksualne ks. Henryk K. z Lipna został skierowany do parafii w Psarach w woj. wielkopolskim. Świadczy tam „pomoc duszpasterską".

Stara kościelna metoda przenoszenia przestępców z parafii do parafii nie wychodzi z mody. Ks. Henryk K., były proboszcz parafii bł. bp. Michała Kozala w Lipnie pod Włocławkiem, obecnie przebywa w parafii Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny w Psarach w charakterze „pomocy duszpasterskiej". Jak przekazał kanclerz Kurii Diecezjalnej we Włocławku ks. Krzysztof Rogala, Henryk K. został skierowany do Psar w związku z chorobą proboszcza tamtejszej parafii. Jej administratorem został dziekan dekanatu dobrskiego ks. Wojciech Marciszewski, a ks. Henryk ma go wspierać.

Henryk K. został skazany przez Sąd Rejonowy w Radziejowie. Zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa przez duchownego złożyła w prokuraturze europosłanka Joanna Scheuring-Wielgus. W efekcie w lutym 2022 r. Prokuratura Rejonowa w Rypinie


Kościół Nawiedzenia Najświętszej Marii Panny w Psarach

fot. Wikipedia

skierowała do sądu akt oskarżenia przeciwko niemu. Ze względu na dobro pokrzywdzonych, organy ścigania nie ujawniają szczegółów sprawy. Wiadomo jednak, że zarzuty dotyczyły doprowadzenia czterech mężczyzn (parafian) do poddania się „innym czynnościom seksualnym". Duchownemu zarzucono wykorzystanie relacji zależności oraz stanu bezbronności lub upojenia alkoholowego ofiar. Na wczesnym etapie postępowania prokuratura badała również wątek dotyczący naruszenia miru domowego. Henryk K. został uniewinniony od jednego zarzutu, w odniesieniu do kolejnego postępowanie umorzono, natomiast w wypadku sześciu innych zapadł wyrok skazujący.

Duchowny blisko 30 lat pełnił funkcje duszpasterskie, a proboszczem w Lipnie był od 2012 r. Kiedy skandal z jego udziałem wyszedł na jaw, ksiądz napisał list do wiernych z Kozala. „W związku z oskarżeniami skierowanymi pod moim adresem i zakończeniem wstępnego dochodzenia przed Sądem Kościelnym wyrażam ubolewanie, że musicie doświadczać tej sytuacji i jednocześnie przepraszam Was za zgorszenie, którego źródłem stało się nadużywanie alkoholu i moje zachowanie" – pisał tuż przed Wielkanocą 2021 r. O homoseksualnym seksie nie wspomniał. Pewnie dlatego, że wcześniej zbierał podpisy wśród wiernych pod projektem ustawy „Stop LGBT" Fundacji Życie i Rodzina Kai Godek. Zawierał on zakaz parad równości, małżeństw jednopłciowych czy „propagowania innej niż heteroseksualna orientacji płciowej".

Katarzyna Wilk-Wojtczak

eprasa.pl 1a7ca6177b



Soams przerwał milczenie.
– Niech pan weźmie, panie Wilmot,
gałki muszkatołowej. Melon bez przyprawy…

John Galworthy „Nowoczesna komedia”

Muszkatołowa magia

Lubię czasem ponownie sięgać po przeczytane już książki, po latach wróciłam do „Sagi rodu Forsyte'ów” i narobiłam sobie apetytu, czytając przywołany fragment. Aromat gałki muszkatołowej podkręca smaki, ale… nie udało mi się kupić melona, więc zjadłam z nią twarożek z brzoskwiniami z kompotu.

Kiedy trzymałam ją w dłoni przed starciem, pomyślałam o jej przeszłości. Była jedną z najdroższych przypraw świata, nie każdego było na nią stać, darowywano ją władcom jako cenny prezent. A wyścig o monopol na handel gałką i innymi korzeniami, zapisał się w historii świata. Przyczynił się do wielkich odkryć geograficznych, ale rozpoczął też erę krwawej eksploracji w wielu miejscach na Ziemi.

Odrobina botaniki

Muszkatołowiec korzenny, muszkatowiec, muszkat (*Myristica fragrans* Houtt.) pochodzi z indonezyjskich Wysp Banda (Korzennych, dzisiaj zwanych Molukkami). Tamtejsza gałka słynęła z najlepszej jakości ze względu na wyjątkowe warunki glebowe i klimatyczne. To wiecznie zielone drzewo ma dzwonkowate, kremowożółte woskowate kwiaty, trochę przypominające konwalie. Rodzi żółte owoce z czerwonawym nalotem, wyglądające prawie jak morele. W Indonezji jada się je na surowo, robi z nich dżem, syrop, przygotowuje kandyzowane *manisan pala* i marynuje.

Wewnątrz owoców znajduje się brązowe nasienie otoczone fioletowoczerwoną, niemal koronkową osnówką, którą ostrożnie zdejmuje się i suszy. Staje się wtedy żółtopomarańczowa, łamliwa, trochę rogowacieje, w handlu znana jako kwiat muszkatołowy lub macis, ale u nas raczej trudno ją kupić. Jest dużo droższa niż gałka, no cóż, z 45 kilogramów gałki powstaje jej jedynie pół kilograma. Dobrze komponuje się z mlekiem, śmietaną, jest świetnym dodatkiem do deserów, zup, zapiekanek, a takie warzywa, jak np.: pomidory, szpinak, zyskują dzięki niej pewien egzotyczny rys.

Gałka muszkatołowa, zwana orzechem muszkatołowym, otoczona jest twardą łupinką. Zanim trafi do sprzedaży, suszy się ją przez 4-6 tygodni, do chwili, gdy wewnątrz łupinki zamieni się w grzechotkę. W sklepach bywa zmielona (szybko wietrzeje) lub w całości, czasami zdarza się nawet taka w łupinie, wtedy najlepiej zachowuje aromat.

Dawniej…

Tak naprawdę pełnej historii żadnej z przypraw raczej nigdy nie poznamy. Wykorzystuje się je w niewielkich ilościach, więc archeologom trudno je zauważyć podczas wykopalisk, a źródła pisane nieczęsto zwracały uwagę na takie drobiazgi jak żywność.

A jednak… Znalezisko na indonezyjskiej Wyspie Ai udowodniło, że tamtejsi mieszkańcy używali gałki już trzy i pół tysiąca lat temu. Dość szybko stała się walutą wymienną. Zamieniano ją na słodką wodę, której na wyspach brakowało, na ryż, sago, owoce, warzywa...

Jakieś trzy tysiące trzysta lat temu mieszkańcy wysp zaczęli docierać z gałką dalej, na Bali i na Jawę, a kupcy stamtąd popłynęli do Indii. Następna informacja o gałce pochodzi z wykopalisk z epoki żelaza. Znaleziono ją zwęgloną na szlaku handlowym z Patny do Nepalu, a w całości w Pendżabie na ofiarnym ołtarzu.

Hinduska księga z VII wieku opisuje już oczyszczanie dymem z goździków i gałki. Nazywano ją *madashaundaka*, czyli oszałamiającym owocem. Cieszyła się sławą afrodyzjaku, stała się istotnym składnikiem mieszanek miłosnych. W ajurwedzie, starohinduskiej sztuce leczenia, używano jej do poprawiania smaku herbaty i mleka, miała działać tonizująco na mózg i serce, była pomocna przy osłabieniu płciowym (?), nietrzymaniu moczu, braku apetytu i zaburzeniach pracy wątroby i śledziony*.

W Europie pierwszy pisał o niej w V w n.e. grecki lekarz Aetius z Amidy, chrześcijanin, zapamiętany, o dziwo! jako autor środka antykoncepcyjnego, w którego skład wchodził aloes, szafran, pieprz, nasiona jakichś traw oraz gałka.

W VI wieku gałka stanowiła ważną część towarów dostarczanych przez karawany. Arabowie leczyli nią wątrobę i dolegliwości skórne, cenili jako afrodyzjak. Majmonides, znany arabsko-żydowski lekarz z XII wieku, polecał mieszankę do potraw (na problemy z potencją) – z 1 uncji pieprzu długiego i korzenia galgantu, 2 uncji anyżu i cynamonu, ¼ uncji macisu i muszkatu.

Do Europy gałka trafiła z krzyżowcami, ale używano jej do… tępienia szkodników. Potem stała się popularnym lekarstwem na… dżumę, a gdy dotarła jej sypialniana sława, na noc poślubną podawano młodej parze hipokras – wino z miodem, cynamonem, imbirem i gałką.

W XVI wieku gałka stała się towarem luksusowym, zapewniającym nie tylko zdrowie, ale i prestiż, rosło na nią zapotrzebowanie. I jej cena. W siedemnastowiecznej kuchni przyprawy królowały, w książkach kucharskich dodawano je do wszystkiego – do mięs, serów, warzyw, owoców, deserów, pijano herbatę i kawę, piwo z ich dodatkiem. Rozpoczął się wyścig o korzenie.

Portugalczycy byli pierwsi, ale wyparli ich Holendrzy. Założyli w XVII w. pierwszą korporację VOC (Holenderska Kompania Wschodnioindyjska), która przejęła kontrolę nad terenami korzennymi, zmonopolizowała handel, wyeliminowała konkurencję, brutalnie traktując tubylców, okaleczając ich, mordując. Fanatycznie strzegła przypraw, ograniczyła produkcję gałki i goździków do Wysp Korzennych, by utrzymać wysoką cenę, a za kradzież lub przemyt nasion lub sadzonek groziła karą śmierci.

Monopol złamali dopiero Anglicy, przejmując maleńką Wyspę Run. Wprawdzie w końcu oddali ją Holendrom, ale w zamian otrzymali Nowy Amsterdam (Manhattan)! co pokazuje, jaką wartość miała wtedy gałka. Na początku XIX wieku założyli plantacje muszkatołowca na Penangu, Cejlonie i Sumatrze, a potem na Grenadzie, gdzie drzewka trafiły na idealne warunki. Wkrótce jej ceny zaczęły spadać. Także dlatego, że szło nowe. Pod wpływem nowoczesnej kuchni francuskiej zaczęło zmieniać się spojrzenie na gotowanie. Modna stawała się lokalność, zioła i świeżość. A moda, jak to moda, wpłynęła na resztę Europy.

Ten smak i aromat

Gałka muszkatołowa w kuchni jest niezastąpiona. Wyobrażacie sobie pasztet bez niej? Jej ciepły aromat i smak podkreślają smak beszamelu, purée z ziemniaków, selera, kalafiora, brokułów, zup jarzynowych, serów, piernika…

Ten tak charakterystyczny smak gałka zawdzięcza mirystycynie (która jest i w natce pietruszki). To związek psychoaktywny o właściwościach narkotycznych, w nadmiarze szkodliwy, powodujący niepokój, zaburzenia orientacji, oderwanie od rzeczywistości, sny na jawie, złudzenia i omamy wzrokowe. Na szczęście, używana w ilościach kulinarnych (szczypta lub ¼ łyżeczki) nie jest groźna, ale powinny jej unikać kobiety w ciąży, bo w nadmiarze może spowodować poronienie, a u płodu wady rozwojowe.

Gałkę stosuje się, oczywiście, w lecznictwie. Działa wiatropędnie, poprawia trawienie, zwiększa uwalnianie serotoniny, hamuje ośrodek głodu, zmniejszając apetyt. Jednak wchodzi w interakcje z niektórymi lekami, np. może zwiększać poziom niektórych leków przeciwzakrzepowych we krwi, więc zawsze bezpieczniej skonsultować się z lekarzem. ●

* Christian Rätsch „Rośliny miłości”, Wydawnictwo Gamma, Warszawa 1992

eprasa.pl 1a7ca6177b

Nr 8 (284) 20-26.02 2026 r. F!

Król umarł



Z gadziej perspektywy

Zaskoczyło mnie ostatnio pytanie o ZSRR. Czy byłem tam kiedyś, co mi się nie podobało? Czy ZSRR jeszcze pamiętam?

Pytał niespodziewanie poznany Rosjanin, gatunek ludzki rzadko ostatnio występujący w Warszawie. Chwilę o tym pogadaliśmy, skupiając się na różnicach życia w Polsce Ludowej i ZSRR. Niedosyt rozmowy pozostał.

„Armia radziecka z tobą od dziecka" – taką rymowanką wróciłem potem do mego dzieciństwa za Gomułki. Spędzonego w świętym mieście Częstochowie. Armię radziecką widywałem tam często. Na pomnikach ku czci wyzwolenia miasta spod niemieckiej okupacji w styczniu 1945 r.

Starszy, jeszcze z 1946 r., ustawiony na Placu Nowotki, teraz znów Daszyńskiego. Tradycyjny w formie i treści. Nijaki. W czasach mego dzieciństwa nie budził już emocji. Był taki niezauważalny. Jego przeciwieństwem był pomnik stojący na centralnym dla miasta Placu Biegańskiego. Autorstwa świetnego rzeźbiarza Mariana Koniecznego. Przedstawiał dynamiczną postać krasnoarmiejca trzymającego gałązkę oliwną w podniesionej dłoni. Umieszczono go na górującym nad placem postumencie, pomiędzy kościołem św. Jakuba, pierwotnie wybudowanym jako cerkiew w czasie rosyjskiego zaboru, a ówczesną siedzibą władz miejskich, czyli prezydium miejskiej rady narodowej.

Szybko ów żołnierz został przez Częstochowian ochrzczony pieszczotliwym imieniem Iwana. I dorobił się wiersza: „Stoi Iwan stoi, na wysokim słupie. Kościół ma przed sobą, a prezydium w dupie".

Oba pomniki zostały po 1990 r. usunięte. Na Placu Daszyńskiego miejsce po Armii Czerwonej zajął pomnik papieża JPII bezradnie stojącego obok gigantycznego, przewróconego krzyża katolickiego. Symbolizującego teraz postępującą laicyzację Polski i miasta Częstochowy. Miejsce po Iwanie zajął marszałek Piłsudskiego. Na niskim cokole. Nijaki.

Szkoda mi tamtego dynamicznego Iwan. Można było go przecież przeinterpretować. Uznać, że jest to żołnierz ukraińskiego pochodzenia, który po słusznym i zbawiennym wyzwoleniu Jasnej Góry biegnie teraz z gałązką pokoju do NATO i Unii Europejskiej. Komu to przeszkadzało?

W czasach mego częstochowskiego dzieciństwa w moim domu, podobnie jak w wielu innych, absolutnie nie rozmawiało się o ZSRR. Nie wymawiano tego słowa. Podobnie jak w ówczesnym ZSRR o seksie.

Marks w języku Puszkina

W szkole podstawowej uczono nas przymusowo języka rosyjskiego. Beznamiętnie, bez efektów. Zapisano mnie też do Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, podobnie jak do Ligi Ochrony Przyrody, Ligi Obrony Kraju i w grono wiernych Kościoła katolickiego. Takie uczestnictwo bez wymaganej konieczności regularnej działalności było niczym społeczna szczepionka. Wielce przydało mi się potem w życiu dorosłym, kiedy zapisywałem się, lub zapisywano mnie, do poważnych partii politycznych.

W IV Liceum Ogólnokształcącym pani od rosyjskiego uczyła nas poezji klasycznej oraz wesołych wierszyków i tekstów piosenek. Na pamięć. Do dziś popisuję się melorecytacją Lermontowa. Na koniec poznaliśmy Majakowskiego, Błoka, Chlebnikowa, Gumilowa, Achmatową, Mandelsztama. I dużo Jesienina. Dopiero teraz, kiedy do nich wracam, zaczynam rozumieć więcej.

Na uniwersytecie mieliśmy od rosyjskiego princessę Leę Bogomolną. Napisała specjalnie dla nas podręcznik języka rosyjskiego bazujący na fragmentach pism klasyków marksizmu przełożonych na język Puszkina i Babla. Ich też uczyliśmy się na pamięć. Do dziś popisuję się recytacją fraz Marksa w języku Zoszczenki.

Na szczęście, podczas studiów zaprzyjaźniłem się z rosyjską studentką. Dużo rozmawialiśmy, także o filozofii, o lichwiarce Alonie Iwanownej, Nestorze Machno i *kino-iskusstwie*. Pewnie dlatego potem moja rosyjska mowa budziła wielki, iście ekspercki respekt wśród zachodnich kolegów z Rady Europy i Parlamentu Europejskiego.

W „Mieście Świętej Wieży" opowiadaliśmy sobie dowcipy o spotkaniach Polaka z Niemcem, Amerykaninem i Ruskim. W finale Niemiec zawsze był oszwabiony, Amerykanin okazywał się prostaczkiem, cwany Polak wygrywał, a Ruski zawsze śmieszył. Podczas ognisk wieńczących rajdy piesze po Jurze Częstochowskiej śpiewaliśmy: o mój rozmarynie, nie szumcie wierzby nam, my pierwsza brygada na przemian z cygańską balladą i piosenkami Bułata Okudżawy po rosyjsku. Kiedy noc zapadała, gadaliśmy o nieobecnej w domu i szkole historii. O wojnie polsko-radzieckiej w 1920 r., zbrodni w Katyniu, pakcie Ribbentrop-Mołotow.

Pamiętam kolegę, który przekonywał nas, że Katynia nie mogli zrobić Rosjanie. Argumentował, że polskich oficerów zabito strzałami w tył głowy, oddanymi równiutko w to samo miejsce. A potem też równiutko, wedle porządku, ciała pomordowanych złożono do zbiorowych grobów. Czy widzieliście kiedyś Ruskich, którzy cokolwiek zrobili równo, wedle porządku? A Niemcy od zawsze tak robią! – przekonywał.

Pożegnanie z legendą

W tamtych czasach braki mięsa, cukru i innych towarów w polskich sklepach lud tłumaczył przymusową wywózką ich „do Rosji". Krążyły opowieści o tajnych transportach polskiego cukru w workach z napisem „cement". Potem bułgarscy koledzy dziennikarze opowiadali mi, że u nich też wszelkie deficyty tłumaczono wywózkami żywności do ZSRR. Zaś w Związku Radzieckim podobne deficyty już nawet oficjalnie tłumaczono koniecznością internacjonalistycznej pomocy „bratnim państwom socjalistycznym". Lud w ZSRR też wierzył, że to oni nas muszą żywić.

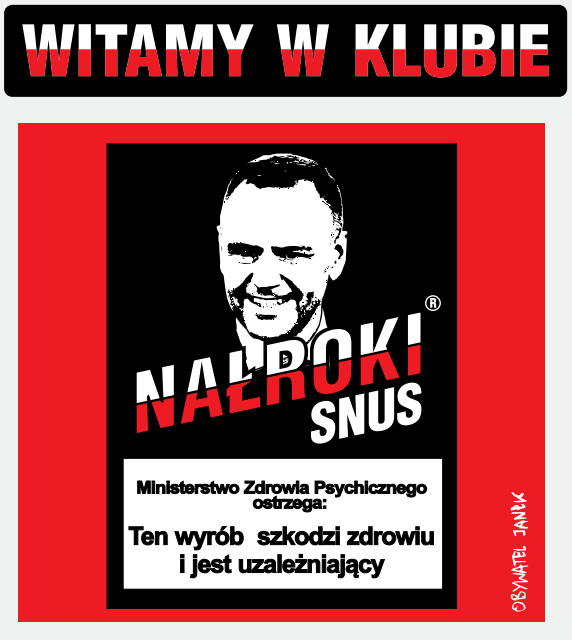
W ZSRR bywałem służbowo jako dziennikarz. Nie zaznałem tam przykrości, mój status pewnie chronił mnie przed nimi. Zauważyłem tam, ku memu zdumieniu, o wiele większe kontrasty społeczne niż w Polsce. Większe bieguny biedy i bogactwa. Większy kult pieniądza i większą jego moc sprawczą.

W czasie studiów, w końcu gierkowskiej dekady, czytaliśmy oficjalnie zakazany esej radzieckiego dysydenta Andrieja Almaryka „Czy ZSRR przetrwa do 1984 roku". Spieraliśmy się o jego trafność. Uważałem wtedy, że ZSRR ma szansę na reformy i przetrwanie. Historia potwierdziła przewidywania Almaryka.

W 1993 r. mój czeski kolega gromko opłakiwał ZSRR. Spytałem, czemu. To był światowy hokejowy król – odpowiedział. Zawsze, kiedy z nimi wygrywaliśmy, widziałem prawdziwą wielkość naszego narodu.

Od kiedy król umarł, nie ma już z kim wygrać.

Piotr Gadzinowski



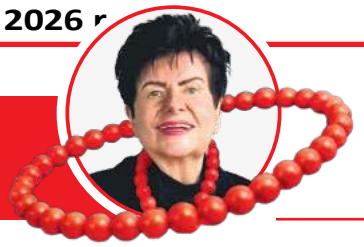
Śnieg, mróz, zadymka, deszcz, wiatr – te wszystkie atrakcje spotykały mnie na przemian w ostatnich dniach. Nieprzewidywalność aury doprowadziła mój organizm do rozchwiania, co poskutkowało jego osłabieniem. Mój system odpornościowy się poddał i postanowił zwalić mnie do wyra z objawami niby to grypowymi. Osłabienie, katar, senność przy braku gorączki i poważniejszych komplikacji w rejonach górnych dróg oddechowych. Dolegliwości gastryczne, zbliżone do tych kacowych, niespecjalnie mi ciążyły, lecz były faktem, tak jak i bóle mięśni oraz dreszcze – podobne miałem po hucznych grillach osiedlowych. Wiele przy tym incydentów womitacyjnych przeżyłem, jednakże te obecne nacechowane były jakąś taką obojętnością, niespecjalną werwą i słabą uciążliwością. Wybierałem się do toalety i pochyliwszy się nad muszlą klozetową oddawałem naturze treść żołądka bez męki i raczej ze spokojem. Choroba moja była pewnego rodzaju ostentacją, bezceremonialną demonstracją organizmu, który zdawał się mówić: „Nie podoba mi się to, co się wokół dzieje, więc daję jedynie ostrzeżenie". Była niczym mięśniak Stacho dający ojcowską „blachę" chwiejom sikającym na ścianę Bloku, albo jak polityka, która w ramach takiegoż ostrzeżenia zsyła nam na urząd prezydenta kibola lub alfonsa, a czasem pierwszego i drugiego w jednym.

I mruczy nam ta polityka zawoalowanym przekazem: „Więcej kultury, skurwisyny, albo się rozkręcę". A wiedząc, jaka to perfidna dziwka, jestem przekonany, że świetnie to potrafi.

OBYWATEL JANEK

eprasa.pl 1a7ca6177b

Czerwone korale



Ponoć rząd Tuska wierzy, że rozdmuchanie polskich wątków afery Epsteina pomoże mu rozgromić PiS i wygrać wybory w 2027 r. Szatański plan czy naiwność graniczące z głupotą?

Epstein jako Tuskowy młot na PiS

Trzy miliony stron

Kiedy Amerykanie opublikowali wreszcie trzy miliony stron dokumentów dotyczących afery Jeffreya Epsteina, świat zatrząsł się z oburzenia i obrzydzenia. Choć wiele nazwisk i szczegółów zostało zaczernionych, to z ujawnionych e-maili, listów, zdjęć i filmów wyłonił się wstrząsający obraz globalnych elit. Finansowych, biznesowych, politycznych, artystycznych, arystokratycznych. Funkcjonujących w świecie wzajemnych przysług. Klientela Epsteina to byli ludzie z pierwszych stron gazet, bywalcy Davos, filantropi z fundacjami większymi niż budżety małych państw. Niby wszyscy o tym wiedzieli, ale tylko z szeptów po kątach, a teraz mogą odczytać z upublicznionych dokumentów. O nowe, znane nazwiska powiększyła się wcześniejsza lista seksualnych drapieżców, ludzi uzależnionych od stosowania przemocy, zażywania narkotyków, spragnionych zboczonych rozrywek na Epsteinowej „Wyspie Pedofilów", na którą latali odrzutowcem „Lolita Express", ale też ludzi gotowych za pieniądze prowadzić mu nie tylko szemrane interesy, ale i proceder handlu ludźmi, w tym nieletnimi.

Do już znanych kompromitacji, dymisji, mętnych tłumaczeń doszły nowe. Po 2008 r., kiedy Epstein przyznał się do nakłaniania osób niepełnoletnich do prostytucji i po kontrowersyjnej ugodzie z prokuraturą na Florydzie, odbył 13 z 18 miesięcy wyroku, tłumaczenia, że nic się nie wiedziało o jego przestępczej działalności, były tylko niewiarygodnym wykrętem, choć wciąż stosowanym. Po obecnej, oficjalnej publikacji zatrzęsły się nie tylko biznesy, ale też brytyjska, a zwłaszcza norweska monarchia. Po ujawnieniu, że żona następcy norweskiego tronu księżna Mette-Marit – jak sama przyznała – pozostawała w przyjaźni z Epsteinem, a w korespondencji do niego używała sformułowania „Kochany", tylko 30 proc. Norwegów widzi ją jako królową, a poparcie dla monarchii spadło do 50 proc.

Świat coraz bardziej rozumie, że Epstein nie był samotnym wilkiem. Był produktem systemu, w którym elity, zarówno świeckie, jak i kościelne, do cna zdemoralizowane przez pieniądze i władzę mogą bezkarnie dokonywać wszystkich przestępstw: handlować ludźmi, gwałcić, mordować, oszukiwać, kraść, wyłudzać. A w razie wpadki rzucają kogoś na pożarcie. Bez zbędnych sentymentów, byle – póki się da – chronić własną skórę. Nie tylko w amerykańskich więzieniach popełniają samobójstwa ci, którzy za dużo wiedzą, jak choćby Epstein w 2019 r. A że akurat wtedy monitoring nie działał, a strażnicy zasnęli to zwykły przypadek. Tak jak zupełnie przypadkiem w notesie Epsteina roi się od nazwisk różnych ludzi ze świecznika, którzy publicznie pouczają o moralności, uczciwości, wartościach rodzinnych, wierności tradycyjnym ideałom.

Zespół, a nawet dwa

To już stara polska tradycja, że jak nie wiadomo, co robić, powołuje się komisję. Ponieważ jednak ostatnio, zwłaszcza sejmowe, dość się skompromitowały, premier Tusk ogłosił powstanie rządowego zespołu analitycznego do zbadania ewentualnych polskich wątków w sprawie skandalu pedofilskiego z udziałem Epsteina. W jego skład weszli przedstawiciele resortów sprawiedliwości, cyfryzacji, spraw wewnętrznych i administracji oraz służb specjalnych, a także rzecznik prasowy rządu. Przewodniczącym został minister sprawiedliwości i prokurator generalny Waldemar Żurek, który swoje działania w tej sprawie koordynuje z ministrami Kierwińskim i Siemoniakiem. 12 lutego odbyło się pierwsze spotkanie. Podobno była burza mózgów, z której wynikła pilna potrzeba powołania drugiego zespołu, który pod kątem śledczym zbada doniesienia o przestępczym udziale Polaków w międzynarodowej aferze, podczas gdy już istniejące gremium będzie działać „analitycznie", czyli analizować dokumenty z USA pod kątem polskich wątków.

Żeby zespoły miały nad czym pracować, Polska ma wystąpić do rządu USA o wydanie utajnionych akt. Zespół analityczny ma sprawdzić, czy Polacy dokonywali przestępstw związanych z pedofilią i handlem ludźmi oraz czy w Polsce żyją ich ofiary. Powinien raczej sprawdzić skalę werbunków, bo nie jest już żadną tajemnicą, że były. Nie bez powodu wśród najbliższych i najbardziej zaufanych współpracowników Epsteina byli: modelka Adrianna Mucińska-Ross i Janusz Banasiak, który zarządzał nieruchomościami milionera-przestępcy na Florydzie („FpM" 07/26). Obydwoje zawarli ugodę z amerykańskim ministerstwem sprawiedliwości, więc pewnie okażą się nietykalni, ale próbować można i warto.

Do tej pory namiętne poszukiwanie polskich śladów, gdzie tylko się da, służyło podbijaniu bębenka społeczeństwu, cierpiącemu od lat na kompleks niższości wobec Zachodu, a zwłaszcza Ameryki. Znalezienie czegokolwiek polskiego, choćby to była dziesiąta woda po kisielu, napawało radością i dumą, że tacy jesteśmy światowi i zdolni. Polacy cieszyli się jak dzieci z informacji, że polskie pochodzenie mają Ben Affleck, Gwyneth Paltrow, Scarlett Johansson, Angelina Jolie, Natalie Portman czy Justin Bieber. Zdecydowanie mniej emocji wzbudzała polska krew ponad 50 laureatów Nagrody Nobla, bo w odróżnieniu od gwiazd filmowych, byli powszechnie nieznani. Inna sprawa jest z Epsteinem, który ma podwójnie polskie korzenie: ze strony ojca po dziadku z Białegostoku, a z Litwy po przodkach matki. Jednak ze względu na jego przestępczą działalność i złą sławę nikt nie chce się do niego przyznawać.

Gdzie sens, gdzie logika?

Premier Tusk i odnośne zespoły, które mają wyłowić polskie wątki afery Epsteina, idą zdecydowanie pod prąd społecznych oczekiwań. Większość Polaków wcale nie chce wiedzieć, ilu ich rodaków było przestępcami korzystającymi z nielegalnych usług oferowanych przez Epsteina, ilu było umoczonych w prowadzenie z nim przestępczego interesu, a ilu ponoć tylko się kumplowało. Tak jak nie chce zaakceptować wiedzy o Jedwabnem czy mordach dokonywanych przez tzw. wyklętych. Wszak w ubiegłym roku ponad połowa odrzuciła wiedzę o przekrętach i szemranych znajomościach Karola Nawrockiego i uczyniła go prezydentem. Co więcej, do dziś darzy go największym zaufaniem (sic!).

Oczywiście polskie wątki afery Epsteina wymagają znalezienia, co przy trzech milionach stron opisujących fakty nie będzie proste, wyjaśnienia, rozliczenia i – jeśli będą dowody – ukarania, ale czy trzeba do tego aż dwóch specjalnych zespołów? W dodatku z tajnymi składami, więc po co nagłaśniać ich powstanie? Przysłowie „Tisze jediesz, dalsze budiesz", choć rosyjskie, więc teraz nieprawomyślne, zawiera ponadnarodową i ponadczasową mądrość wartą stosowania.

Wbrew temu premier Tusk i jego doradcy, a ponoć głównie Igor Ostachowicz, uznali, że szum wokół sprawy, w której wielokrotnie pojawia się nazwisko obecnego prezydenta USA, osłabi polityczną pozycję trumpofilnego PiS. A w połączeniu ze stanowczością Tuska w tropieniu polskich wątków międzynarodowej afery sprawi, że za półtora roku Platforma wygra w podskokach wybory parlamentarne. Jest to rozumowanie błędne.

Afera Epsteina faktycznie jest atomowym paliwem, ale jedynie dla konserwatywnej, skrajnej prawicy, a nie dla proeuropejskich liberałów, do których zalicza się koalicja 15 października. Wszak, kiedy wybuchła, w Polsce natychmiast powstały dwa obozy: jeden dowodzący, że to dowód na degenerację Zachodu, drugi – że wszędzie elity są bezkarne. Toteż, jeśli wynik prac zespołów Żurka przyniesie komuś korzyść, to głównie obydwu odłamom Konfederacji. Pomysł, że są lepsze od PiS jest szkodliwy dla Polski.

Premier Tusk, na złość Kaczyńskiemu, chce odmrozić sobie uszy. Ale dlaczego przy okazji także antypisowskim wyborcom?

prof. Joanna Senyszyn

FAKTY PO MITACH

TYGODNIK FAKTY PO MITACH
(INDEX 434000, ISSN 2719-5309)

Adres do korespondencji:
ul. Łąkowa 11, 90-562 Łódź
(biurowiec Tower Building)
sekretariat: tel. 501 258 385
w godz. 10.00-14.00
redakcja@faktypomitach.pl
listy@faktypomitach.pl
www.faktypomitach.pl
tygodnikfaktypomitach

Redaktor naczelny: J. Dariusz Cychol

Redaguje zespół: Anton Arbatow, Bożena Bednarek, Joanna Cyterska, Łukasz Czarnocki, Piotr Gadzinowski, Katarzyna Wilk-Wojtczak, Włodzimierz Galant, Andrzej Gerlach, Joanna Hańderek, Jakub Jabłoński, Wacław Jerzy Koniecpolski, Michał Kostur, Artur K. Lis, Krzysztof Lubczyński, Włodek Michalak, Tadeusz Nowak, Adam Papierniok, Bolesław Parma, Stefan Płonicki, Sławomir Sadowski, Joanna Senyszyn, Agnieszka Stefańska, Grzegorz Szokiński, Dorota Wróblewska.

Redakcja zastrzega sobie prawo do adiustacji i skracania tekstów. Nie zwracamy materiałów niezamówionych.

Wydawca:
„Mediator – Jan Dariusz Cychol"
ul. Pedagogiczna 22, 05-840 Brwinów
Regon: 141814816 NIP: 534 110 45 88
Dział kolportażu: kolportaz@faktypomitach.pl
Druk: ZPR MEDIA S.A.
ul. Jubilerska 10, 04-187 Warszawa

Dystrybucja: **Kolporter S.A., Garmond Press S.A.,**
Wersja online: **nexto.pl e-Kiosk.pl eGazety.pl eprasa.pl**

Prenumerata redakcyjna:
prenumerata@faktypomitach.pl
miesięczna – 44 zł (4 wydania)

„DO-CENT" sp. z o.o.
05-840 Brwinów, ul. Pedagogiczna 22
Nr konta: 32 1240 1242 1111 0000 1588 4921

Poczta Polska S.A.: sklep.poczta-polska.pl

eprasa.pl 1a7ca6177b



ZAORANE

Bytom

87-latek chciał w tłusty czwartek zaparkować pod cukiernią, ale zamiast hamulca wcisnął gaz i wjechał w witrynę. Na szczęście nikt nie ucierpiał. Do końca nie można wykluczyć, że nie był to błąd kierowcy, lecz pociąg do pączków.

Bytów

Tylko przypominamy, że posiadanie, wytwarzanie, wprowadzanie do obrotu, ułatwianie spożycia i nakłanianie do użycia pączków jest całkowicie dozwolone! Po pączkach możecie też prowadzić każdy pojazd mechaniczny więc… smacznego!" – napisali w tłusty czwartek na Facebooku policjanci z Komendy Powiatowej Policji. Internauci podchwycili żart i zaczęli drążyć temat. „Nawet te z białym pudrem?" – dopytywali.

Siesławice

Kiedy samochód potrącił 63-letniego pieszego, pierwszej pomocy udzielił mu policjant, będący w czasie wolnym od służby. 55-letni znajomy poszkodowanego obserwował wszystko z dystansu, po czym zgarnął portfel rannego kolegi i ruszył na zakupy. Za ponad 1 300 zł kupił alkohol, ciuchy i jedzenie. Przed wydaniem wszystkiego zatrzymała go dopiero blokada karty.

Lublin

Przed nami Mistrzostwa Europy Księży w halowej piłce nożnej. Drużyna sukienkowych z Polski jest jednym z faworytów – w 17 edycjach zdobyła aż 16 medali, w tym 9 złotych. Teraz znów muszą udowodnić, że życie w celibacie nie przeszkadza w strzelaniu goli.

Inowrocław

Są ludzie, którym wszystko przeszkadza. Można by ich wysłać na biegun, ale i tam znajdą powody do czepiania się. Dowodem na to jest zgłoszenie do Straży Miejskiej o „nielegalnej budowli", która „jest nieprofesjonalna i zagraża zapadnięciem". Kiedy mundurowi pojechali we wskazane miejsce, okazało się, że chodzi o wybudowane przez dzieci igloo…

Człuchów

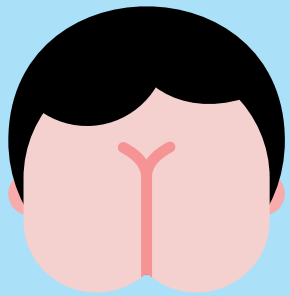
49-letni mężczyzna ukradł z lombardu złotą bransoletkę wartą ponad 5 tys. zł. Wykorzystał chwilę nieuwagi pracownika, schował biżuterię do kieszeni i opuścił lokal. Następnie oddał ją do naprawy w miejscowej pracowni jubilerskiej. Złodziejowi grozi do 5 lat odsiadki. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie fakt, że sprawcą był… czynny funkcjonariusz policji i miejski radny.

Z PiSiej pupy się wyrwało:

Koń nigdy nie będzie krową. Nie dla pseudomałżeństw gejowskich!

***

Idziemy po władzę – stop!!!
prorosyjskim rządom Tuska i spółki.



Przemysław Czarnek
poseł



FARYZJADA





Walentynki

Polska nazwa święta zakochanych, obchodzonego w dniu św. Walentego, 14 lutego. Jego źródeł upatruje się już w starożytnym Rzymie, gdzie 14-15 lutego odbywały się Luperkalia ku czci Junony, bogini kobiet i małżeństwa, oraz Pana, boga przyrody. W południowej i zachodniej Europie są praktykowane od średniowiecza. Brytyjczycy uważają je za swoje, gdyż rozsławił je w świecie szkocki pisarz i poeta Walter Scott (1771-1832).

Obecnie walentynki są najpopularniejsze w USA, Wielkiej Brytanii, Kanadzie, Australii, Francji, Meksyku i Korei Południowej. Zakazane są w Iranie, Arabii Saudyjskiej, Korei Północnej, a źle widziane i regionalnie lub czasowo ograniczane w Pakistanie, Indonezji i Malezji. Głównymi deklarowanymi powodami restrykcyjnego podejścia do święta zakochanych są: sprzeczność z doktryną religijną, zapobieganie działaniom niezgodnym z islamem, ochrona społeczeństwa przed upadkiem moralnym, demoralizującymi wpływami Zachodu i nadmiernym konsumpcjonizmem, troska o lokalne tradycje, ograniczanie zgromadzeń publicznych.

Do Polski zachodnie święto zakochanych dotarło dopiero w latach 80. XX w., a zadomowiło się na dobre po ustrojowej transformacji. W przeciwieństwie do Halloween, nie jest przez Kościół kat. uznawane za pogańskie czy groźne duchowo, a traktowane jako warte podczepienia się ze względu na świętego patrona. Kler próbuje nadać walentynkom charakter święta „miłości wiernej i ofiarnej", zamiast erotycznej i konsumpcyjnej. W wielu parafiach organizowane są specjalne nabożeństwa dla par. Relikwie św. Walentego są ponoć w Lublinie, Krakowie, Chełmnie, Przemyślu, Gołuchowie, Rudach Wielkich oraz na Jasnej Górze, a lista ta co i raz się powiększa, bo każda okazja jest dobra, żeby wyciągać pieniądze od wiernych.

Pod tym względem Kościół idzie ręka w rękę z biznesem, dla którego walentynki stanowią przełamanie handlowej stagnacji pomiędzy Bożym Narodzeniem a Wielkanocą. Chodzi o niemałe pieniądze. Amerykanie wydają na to święto średnio 200 dolarów na głowę, a łącznie prawie 30 mld dolarów w 2026 r. Polacy są mniej skorzy do walentynkowych szaleństw. Zdecydowana większość deklaruje wydatki do 300 zł, bo główni zainteresowani – młodzi – mają mało pieniędzy. Wśród najczęściej wybieranych prezentów są słodycze, kwiaty, kosmetyki i perfumy oraz upominki robione własnoręcznie. Tradycyjne kartki walentynkowe tracą na popularności, a koszty wspólnej kolacji na mieście są coraz częściej dzielone.

Według części singli (szczególnie określających się jako *quirkyalone*, czyli sprzeciwiających się rzekomo powszechnej „tyranii bycia w związku"), walentynki mają charakter opresyjny. Dlatego 14 lutego obchodzą *International Quirkyalone Day*, jako antywalentynki, bo w końcu każda okazja jest dobra, żeby świętować, a z kim to prywatna sprawa. A może po prostu lubią prać i szyć, których to czynności w walentynki robić nie wolno, żeby nie wyprać miłości ani nie narazić się na ostre jak igła kłótnie.

prof. Joanna Senyszyn

eprasa.pl 1a7ca6177b